1. Listopada. — Nr. 44. — 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca (cztery arkusze druku.)

Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

LUDZIE DOBRYCH CHĘCI.

Przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

XI.

W kościele Jezuickim odprawiała się msza na intencję nawrócenia błędnej owieczki z manowców. Duszyczką zbłąkaną był Szeremet, a pani Heterowska chciała wyegzorcyzmować wszelką butę z tej duszy.

Skoro powróciła ze wsi a dowiedziała się od pana Racimorowskiego, że usiłowania jej na niczem pełzną, bo Aleksander jest nie czułym: nie chce ani wdzięków panny Malwiny, ani jej wdzięcznego posagu, — pośpieszyła niezwłocznie do kościoła, w celu szukania rady u Stwórcy i ubłagania Go o lepsze myśli dla Szeremeta. Dała na mszę i wysłuchawszy jej jak zawsze z przykładną pobożnością, wezwała pana kapitana Racimorowskiego.

Przybył wezwany, zawsze pełen galanterji wojskowej pan kapitan, a kiedy jej powtórzył całą rosprawę z Szeremetem, rozpłakała się narzekając:

— A ja wszystkie nadzieje moje położyłam w tym chłopcu! O! jak to przykro, jak to boli widzieć taką niewdzięczność. Cieszyłam się, że on mi zastąpi miejsce dziecka, które mi Pan Bóg powołał do chwały swojej. O, panie kapitanie! ja już tu nie mam nic więcej na tej ziemi!... I co on mówił, dlaczego nie przyjął mojego dobrodziejstwa?

— Pani dobrodziejko! Jego zasady, to dziwne zasady. Ten młody człowiek zdaje się nienawidzieć nas.

— O! nie mów tego, nie mów pan tego. Oleś ma dobre serce.

— On ma serce, zapewne, ale nie dla nas; on ma zaszczepioną w sercu nienawiść. On, o ile go poznałem nie chce przyjąć niczyjej rady i nazywa to niezależnością. Pan Szeremet ma przesadzone wyobrażenie o wolności, jak wszyscy dzisiejsi młodzi ludzie.

— Wszyscy, panie kapitanie?

— Niestety! muszę wyznać, że wszyscy. Według nich, my doświadczeni nie zdali się na nic. O! pani dobrodziejko, gdyby oni mogli, gdyby mogli, coby oni zrobili!

— Nie rozumiem, coby chcieli zrobić?

— Chcieliby rozpowszechnić nieuznawanie dobrych chęci ludzi zasłużonych; chcieliby jednem słowem mięszać się do polityki. Wprawdzie i my dziś starzy, byliśmy poniekąd tacy za młodu, ależ przynajmniej każdy przyzna, mieliśmy poszanowanie dla osób starszych. Tego dziś młodzi nie mają, całe wychowanie Bóg wie jakie.

— I czyliż na to nie ma już rady?

— Bardzo trudna! A może nawet nie ma.

— O! ja nie wątpię, bo przecie Bóg czuwa nad nami. Gdyby przynajmniej Olesia uratować! O! radź pan, radź!

— Jego pani dobrodziejko zawikłano podobno w jakiś stosunek miłośny. Tak, zdaje mi się, że pan Szeremet obałamucony. I dla tego to podobno odrzucił stanowczo nasz projekt, usłyszawszy o marjażu z panną Malwiną.

— O! panie, radź pan!

— Chciałbym, Bóg widzi, ale to nie łatwo.

I umilkli oboje namyślając się. Pan Racimorowski uśmiechnął się nieznacznie i rzekł po chwili:

— Chyba stawić mu przeszkody w osiągnięciu jakiejkolwiek posady.. To jedynie zbawienne, choć może nie bardzo szlachetne.

— Jeżeli tylko duszę zbawi, to cóż znaczą względy światowe?

— O! pani dobrodziejka prawdziwie to po chrześcijańsku osądziłaś.

— Zgadzam się na wszystko co pan zrobisz, byle go naprowadzić na prawą drogę. Już ja Pana Boga przebłagam, gdybyś pan sądził, że sumienie obciążysz. A maszże pan jakie stosunki z ludźmi, u których on szuka posady?

— Stara się o wejście do urzędu budowniczego przy gminie tutejszej; mogę mu przeszkodzić.

— Biedny, biedny Oleś! Ale nie, ja nie mogę zostawić go bez pomocy, kiedy do tego p r z e s z k a d z a ć mu mamy. Trzeba mu jakim sposobem dopomódz.

— Posłać kilkanaście guldenów.

— Nie przyjmie!

— Może i słuszna pani uwaga, bo to ambitny człowiek.

— Ale, panie kapitanie! Syn pański, pan Felicjan zna się z Olesiem; może mu on jak przyjacielowi zrobić niby przysługę i pożyczyć, jak od siebie. O! niech to zrobi, Pan Bóg mu to wynagrodzi.

Pan kapitan Racimorowski namyślał się; ale przyrzekł syna nakłonić do tej przyjacielskiej usługi, i że sam będzie działać stanowczo. Chodziło mu także o pozyskanie człowieka wiodącego rodowód ze szlachetnie urodzonych dla interesów stronnictwa o dobrych chęciach. Poczytywał sobie za obowiązek święty dla kraju i ludzkości, uratowanie człowieka, stojącego nad przepaścią, w której widział z przerażeniem ludzi zepsutych, nieumiarkowanych, bezwzględnych, niespokojnych, wichrzycieli bez celu, butnych bez Boga w sercu, bez miłości dla kraju!

Pan Racimorowski wychodząc z domu pani Reginy, przypomniał sobie nagle, że dał Szeremetowi list polecający

go przed trzema tygodniami, i robił sobie wyrzuty: jak mógł tak nierostropnie postąpić.

Niezadowolony z tego co mu przyszło na myśl, wsiadł do powozu i kazał jechać do pana Justyna.

Nie wielką miał nadzieję, bo sądził, że Szeremet dawno już skorzystał z otrzymanego polecenia. Chciał jednak obwarować się przynajmniej na przyszłość, i pojechał gorąco zalecić nieułatwianie interesu Szeremetowi, tak gorąco, jak przed trzema tygodniami prosił dlań o protekcją.

Na szczęście zastał w domu pana Justyna.

Po przywitaniu bardzo uprzejmem obustronnie, zasiedli ci panowie, a pan Racimorowski zabrał głos pierwszy:

— Zdaje mi się, że przerwałem ci pracę! Ty rujnujesz zdrowie!

— Ach! wszystko to za mało, wszystko za mało! Dla dobra kraju powinniśmy więcej... Ale brak ludzi, brak ludzi, kapitanie.

— Bardzo trafna charakterystyka obecnej chwili — odparł pan kapitan. — Nad czem pracujesz?

— Projekt nowej spółki. Kosztuje mię to pracy, ale dla dobra kraju!... Trzeba nam stanąć materjalnie dobrze, bo inaczej ruina; ruina jednostek, to nieszczęście całego kraju! A co tu począć, kiedy jeszcze codzień niemal dezercja ludzi z naszego obozu obezwładnia nas. Wyobraź sobie kapitanie! młody hrabia Leon, znasz go, zapomniał co winien urodzeniu, co krajowi — i proszę cię, stanął dzisiaj wobec nas i kraju jak najzagorzalszy demagog. Co to za nieszczęście! A! powiadam, że to zaraza, ta młodzież...

— Nie bierz mi za złe, że przerywam, bo poto właśnie i ja w tej kwestji do ciebie przybyłem.

— A na Boga żywego! — zawołał pan Justyn — czy nowe jakie odstępstwo?

— Tak prawie, choć idzie tu o pozyskanie człowieka...

— Co? Czyliż wierzysz, ty kapitanie? że to tak łatwo bądź kogo podnieść do godności stanu i rozumu stanu?

— Pozwól, wytłumaczę się. Idzie właśnie o powstrzymanie człowieka p e w n e g o pochodzenia, człowieka, który mógłby, powinienby się uszlachetnić i podnieść.

— Tak, to pojmuję. O! jestem na twoje usługi.

— Chcemy temu człowiekowi zagrodzić drogę, wstęp do jakiegokolwiek urzędu, słowem, trzeba go zmusić do szukania zgody z nami.

— Nic słuszniejszego, bo potrzeba nam ludzi, potrzeba. Kraj czeka! Naszem zadaniem powinno być zatrzymanie tych przynajmniej, z którymi nas wiąże urodzenie równe. Co sądzisz kapitanie, nie byłoby to korzystnie, gdybyśmy się postarali o osobną szkołę prywatną dla dzieci obywatelskich? Możnaby przynajmniej mieć pewność, że wychowywano by nam zacnych ludzi nie wrogów. Ja zawsze powtarzam, że Jezuici byli nam potrzebni.

Pan Justyn zapalał się i stawał wymownym, że ledwie zdołał przyjść do słowa pan Racimorowski. Zabrawszy je, zaczął od pytania:

— Czy nie miałeś tu wizyty przed kilkoma tygodniami jakiego młodego człowieka?

— Nie!

— I nie odebrałeś listu odemnie?

— I to nie.

— Bogu dzięki! Jest więc nadzieja, że mieć będziemy jednego człowieka. Pisałem w tym liście, prosząc cię dla niego o protekcję, o zatrudnienie. Nie był jeszcze, pokazuje się. Nie przyrzekajże mu nic, nic jednem słowem, jeżeli przyjdzie. A bądź, z łaski, pokornym sługą na chwilę. Chwal jego zamiary a zalecaj nasze dla niego. Świetną mógłby mieć przyszłość idąc zgodnie z nami, a o wiele lichszą, jak długo liczyć będzie tylko na naszą protekcję.

— Rumienić się trzeba — odparł pan Justyn — że to ludzie z urodzeniem tak się zapominają! No proszę! i on nie czuje poniżenia w szukaniu protekcji? Ale już ja się rozprawię z nim. Czy tylko ręczysz, że to człowiek z dobrej familji?

— Ależ siostrzeniec pani Heterowskiej!

— Tak? O! zrobię kapitanie, zrobię co będzie, co jest w mojej mocy.

Wkrótce wychodził pan kapitan z domu pana Justyna. W bramie spotkali się oko w oko z Szeremetem; pan kapitan powitał go bardzo uprzejmie, uprzedzająco, pierwszy mu się ukłonił nawet. Oznajmił, że pan Justyn w domu, że może u niego liczyć na bardzo łaskawe przyjęcie. Żegnając Szeremeta dodał:

— Ach! gdybyś zechciał, gdybyś pan zechciał, zrobiłbyś karjerę, zajął świetne stanowisko, jakie słusznie należy się twoim zdolnościom i urodzeniu.

Szeremet stanął chwilę odurzony. Dziwnie brzmiały mu te wyrazy pana kapitana. Szczególniej wzmianka o urodzeniu była dlań prawdziwą zagadką.

Jakkolwiek dotknęło go to i zdziwiło, słyszał jednak wyraźnie, że dobrze będzie przyjęty. Poszedł więc śmiało na górę i oddał list przedstawiając się i wierząc, że polecenie to zbawi go niezawodnie.

Pan Justyn, uprzedzony już, przyjął o wiele uprzejmiej Szeremeta niż nawet przed kilku tygodniami pan kapitan. Pan Racimorowski bowiem był uprzedzający, ale zimny; obecnie zaś znalazł Szeremet tyle serdeczności, życzeń, słyszał tak rozmaite projekta, że zdawało mu się: powiem tylko: — Tego chcę, a tamto odrzucam, i pan Justyn wszystko dlań zrobi. Rozwinąwszy przed Szeremetem cały rejestr różnorodnych zajęć, jakieby mógł mieć, zakończył nareszcie pan Justyn, iż byłoby mu najmilej powitać Szeremeta jako młodego obywatela niezależnego, który jedynie dla dobra kraju i z przekonania pracuje, nie zaś pracuje dla tego, że mu płacą.

Szeremet odpowiedział wprost, że chyba ludzkie serce pana Justyna zapomniało, poco przybył do niego, zatem życzeniom pana Justyna odpowiedzieć nie może.

Odurzony był tak Szeremet, że nie nadmienił nawet, nie wspomniał o tej wyznawanej prawdzie, iż ktokolwiek poświęca się jakiemubądź zawodowi czy pracy, pracuje tem samem dla kraju, jest już obywatelem.

Pan Justyn starał się nakłonić Szeremeta do zgody z panią Heterowską, mówiąc, że oprócz różniących go z ciotką przekonań, o niczem więcej nie wie, i zdaje się, że nic więcej zgody nie rozrywa.

— Bo zechciej pan tylko ściśle rozważyć — mówił pan Justyn — co właściwie znaczą przekonania wobec

zasad, a w zasadzie nie różnimy się. Wierz mi pan, pracując dla dobra kraju, poznałem ludzi, młodzież. Młodzież godna pochwały, pan także wyszedłeś z jej grona. Otoż wy panowie nazywacie to zasadami demokratycznemi, co niby tak zwana arystokracja faktycznie wypełnia, choć nie głosi. Kochać lud — kochamy... a dowodem zakładane coraz nowe szkółki z inicjatywy właśnie obywateli i właścicieli większych posiadłości. Powiecie, że to jest naszym obowiązkiem... Zapewne! i my go też wypełniamy, a wy tego chcecie. A może zarzucisz pan, że w polityce rozbiegają się nasze drogi? Ośmielam się odpowiedzieć, że zupełnie godzimy się na jedno. Panowie wołacie: światła! i my powtarzamy to samo wołanie. Żądacie zrównania stanów? Owszem, równouprawnienie już nas pojednało, o tyle rozumie się, że jak pan nie podałbyś ręki niegodnemu człowiekowi, tak i my również szanujemy tylko zacnych, choćby najuboższych. Coż nas jeszcze różni? Może formy? tak, formy jedynie. Ale i to panie za lat sto zejdzie do zera. Bo wszakże chcemy postępu; duch nie spoczywa, rewolucja prawdziwa odbywa się w dziedzinie ducha i wiedzy. Dzisiaj, to jeszcze zdarza się, że tam kto nie potrafi znaleźć się w salonie, ale z czasem i to przeminąć musi. Dążymy do ulepszeń, ulepszając mamy większe wymagania, nabieramy gustu, słowem rodzi się w nas poczucie piękna. Czyliż nie przyjemniej panu usiąść na wygodnem krześle niż twardej ławie, nie milej spojrzeć na piękne dzieło sztuki, na obraz artysty, niż widzieć bohomaza z wieśniaczej chaty? Otóż z czasem, kto nie będzie tak zamożnym, aby sobie kupić rzecz jakąś dla wygody czy dla duszy, to będzie niezawodnie o tyle oświeconym, że ją sam sporządzi sobie; własną pracą, przemysłem zastąpi ten niedostatek. — Coż pan sądzisz o tem?

— Zdaje mi się — odparł Szeremet — że w istocie dąży cały świat do tego, iż z czasem więcej będzie rękodzielników, artystów niż włościan. A nawet, ktoż wie, może każdy włościanin będzie rzemieślnikiem dla własnej przyjemności.

— A co? Słowo honoru! dusza się raduje, kiedy słyszę tak trzeźwy sąd o rzeczy — zawołał z uniesieniem pan Justyn.

Szeremet chciał jeszcze coś dodać, ale powstrzymał się nie będąc zapytany.

Pan Justyn przeszedł się po pokoju i nagle stanąwszy przed Szeremetem zapytał:

— A coż pan sądzisz o naszych małomiejskich stosunkach, o miasteczkach małych w ogóle?

— Nie wiem, prawdziwie, czy sąd mój tak ostry, czy moje to uprzedzenie, ale...

— Proszę, mów pan nie krępując się.

— Może za mało — ciągnął Szeremet — znalazłbym przedsiębiorczości, za niedostateczne wykształcenie w zawodach fachowych rękodzielników, a jest ich dosyć i różnych w kraju. Tylko z drugiej strony uniewinnia to znowu: brak oświaty, bo za oświatą przychodzi przemysł i zdaje mi się pilność. Bo w ogóle, komu się powodzi, ten się stara o lepsze jeszcze. Kapitał umysłowy, suma oświaty i pilność stanęłyby może nie raz za kapitał w gotówce.

— Tak zdrowy sąd, tak zdrowy sąd! — zawołał pan Justyn, a przystąpiwszy do Szeremeta, wziął go za rękę mówiąc:

— I proszę pana! i pan odrzucasz dobrodziejstwo pani Heterowskiej? Źle wyraziłem się, pan to robisz dobrodziejstwo przyjmując to, co ona panu z dobrego serca ofiaruje? O! mówiliśmy o tem wiele z panem Racimorowskim, który mi oznajmił, że masz pan list do mnie; ale otwarcie mu powiedziałem, że wolę w każdym razie człowieka z takiemi zdolnościami jak pan, namawiać do przyjęcia majątku i wezwać jego rady, niż protegować go na jakie podrzędniejsze stanowisko.

Szeremet był tak ujęty chwilowo, że odpowiedział nareszcie, co go powstrzymuje od przyjęcia tych sum obiecanych. Jako warunek do nieprzyjęcia kładł niemożność zobowiązania się wejścia w śluby małżeńskie z panną Malwiną, choć nawet kuzynką ciotki jego.

Pan Justyn uśmiechnął się i przyrzekł obalenie tego warunku.

— Chociaż — dodał — wpływ nie mały wywiera osoba, którą obieramy sobie za towarzyszkę życia.

I umilkł znowu, jakby nie chciał dociekać tej możę tajemnicy Szeremeta. Chwilowe milczenie nieznośne było widocznie dla obu; tylko, że Szeremeta męczyła niepewność, pan Justyn zaś był niespokojny, bo myślał jakby najprędzej trafić po przekonań zbiega — za jakiego już uważał Szeremeta — z obozu dostojnych?

Pan Justyn chodził, zatrzymywał się, już otwierał usta i znowu słowa połykał, jakby w obawie.

Szeremet zapytał wreszcie pierwszy:

— Mogęż wiedzieć, coby było moim obowiązkiem? gdybym...

Pan Justyn zwrócił się teraz nagle, jak niespodziewanie ze snu obudzony, i zawołał:

— Gdybyś nam pan podał rękę do zgody, jednem słowem zgodził się?...

— Przekonań moich — zaczął Szeremet.

— Przekonania! Co to przekonania? Zasady rzecz ważna, a zdaje mi się, że godzimy się w zasadzie? Właśnie chciałem panu cały plan przedłożyć. Czasem idzie o to, ażeby wszyscy paraliżowali czynności, zamiary, czy wpływy czyjeś, któreby niezgodne były z dobrem kraju. Czy przyszedłszy do majątku postępowałbyś pan według.. tak stosownie do okoliczności zastosowanego planu?

— Chodziłoby mi koniecznie o zasady! — odparł Szeremet. — I o to, czy godziłoby się z sumieniem mojem.

— Ależ chciej mi pan wierzyć, że w zasadzie zgadzamy się. No, a nie posądzisz przecie pracujących dla dobra kraju o brak sumienia.

— Chciałbym, to jest... byłoby mojem życzeniem zawsze widzieć jasno, co popieram a czemu przeszkadzam?

— Coż pan na to powiesz, kiedy to wprost niemożliwe! Ja sam często nie wiem dla czego tak a nie inaczej robię; jednak zgadzam się, bo wierzę, że solidarność jest potrzebną, konieczną.

Pan Justyn wymówił ostatnie słowa z wielką powagą i z naciskiem. Szeremet zaś nie namyślając się, powstał i rzekł:

— Pan daruje... pan mię sam zachęcałeś do wypowiedzenia rzetelnie co myślę. Powiem więc, że narzędziem ślepem być nie mogę, nie potrafię..

Pan Justyn nie był w stanie ukryć wrażenia, jakie słowa powyższe wywarły, i rzekł z ironją:

— Może pan myślisz popchnąć świat w nowe tory? A nie masz żyć z czego.

— Znajdę pracę!

— Życzę mu powodzenia, ale wyznam, że straciłbym nadzieję będąc w pańskiem położeniu.

— Ja też od dziś przestaję liczyć na protekcję i mam honor pożegnać pana.

Pan Justyn wyrzekł w duchu: — »Stracony człowiek dla nas!« — i lekko skłonił się tylko żegnającemu go Szeremetowi.

— Fałszywi ludzie — pomyślał Szeremet znalazłszy się na ulicy. — O protekcji nie ma już co myśleć i o nich także.

Szedł bez celu czas jakiś, ale nie bez myśli. Widział jasno całe okropne położenie człowieka, ale nie to smutkiem i goryczą napełniało serce. Mniej o sobie — więcej myślał o Stasi, jej rodzinie. Tam nie było prawie ratunku. Czy ich potępiał za nierozwagę, czy ubolewał nad nimi, rzeczywistość przedstawiała się zawsze tylko jednostronnie — jako nieszczęście. Wszelkie zabiegi, starania za nic! Ani jeden zamiar wykonany, ani jedna myśl urzeczywistniona! Szeremet pierwszy raz w życiu zadrżał pomyślawszy o przyszłości. Do niedawna ukrywał sam przed sobą rozpaczliwe położenie swoje, a teraz zaczynał wierzyć w fatalizm jakiś. Pomyślał: — Niech się dzieje co chce, nic już nie poradzę! i zwątpił o własnych siłach. Biegł z półgodziny bez celu; nie gnał go teraz duch — do niedawna niezłomny, ale pędziło, prześladowało uczucie miłości. Jeszcze tylko Stasia stała mu przed oczyma, dla niej chciał ratunku. I słabe serce zaczęło radzić po swojemu. Czemuż nie mam poświęcić, a przynajmniej zmienić przekonań? Co mi dadzą niewzruszone dotąd moje zasady? Dla jakiegoś idealnego świata, który tu widocznie niemożliwy, mamże poświęcić nietylko szczęście własne, ale i podeptać kochające mię serce? — Oddać mam kochankę na pastwę nędzy?... Co mi tam świat! Co znaczy — nie pomyślałem przed chwilą, że będę robił jak zechcą? Ale mogę mieć majątek, uszczęśliwić całą rodzinę. Wszakże potem, cóż trudnego nawrócić na drogę własnych znowu przekonań. Zresztą to przecie ludzie nie tak źli, mają także swoje zdanie. Zanadto, zanadto byłem niewyrozumiały!

I powodowany sercem, które mu nakazywało szukania rady nawet w odstąpieniu od zasad całego życia — zawrócił, i postanowił oddać usługi swe panu Justynowi. Tłumaczył się sam przed sobą, że ostateczność zniewala go do tego, że zresztą pan Justyn nie zażąda nic niezgodnego z sumieniem.

Wyszedłszy niedawno z domu pana Justyna, zaszedł był daleko, nie zważając gdzie się znajduje. Dopiero kiedy wracał, spostrzegł że był na odległem Janowskiem przedmieściu — i przyśpieszył kroku, jakby w obawie, ażeby mu szczęście już bliskie nie uciekło.

Po obu stronach drogi tego przedmieścia za rowem, są chodniki połączone z drogą z rzadka rozrzuconemi mostkami. Szeremet chciał przejść przez jeden z takich mostków. Wprost z mostu tego była szynkownia, z której wyszedł człowiek jakiś, z tłumoczkiem na kiju, i chciał znowu dostać się z pod domów na drogę. Na moście wązkim zeszli się przypadkiem nieznajomy i Szeremet. Nieznajomy stanął i zawołał nagle uradowany:

— Kłaniam się panu! Bóg łaskaw, że pana pierwszego zdybuję. Ach! a jak pan zmarniał na twarzy.

— Jak się masz Iwasiu! Jak się masz? Znowu powracasz do miasta? — odparł Szeremet.

— Idę za służbą, bo...

Szeremet nie badał, bo mu śpieszno było — Iwaś sam ciągnął dalej:

— Jakby to powiedzieć panu? — Ot, ja zrobiłem jak pan poradził, ale źli ludzie inaczej. Nikomum nic złego nie zrobił, przecie i tak nie dali spokoju. Wójt wszystkich krzywdzi a potem szuka świadków, a kto nie chce jego strony trzymać, to mu się pewnie da we znaki. Chciał on — ot tydzień temu — abym ja tam także świadczył, nie tak jak prawda, ale jak dla niego by było dobrze, choć nieprawda. A gdzie sumienie? pomyślałem — i uciekam, bo to panie człowiek zawzięty i głupi, nawet czytać nie umie. Ja mu wszystko czytywał, to on mnie za to tak się odwdzięcza. Ale Pan Bóg to widzi, i ja na sumieniu nic mieć nie będę. Dobrze, żem pana zdybał; może panu trzeba będzie posłużyć, bo już to do nauki większej, podobnom za stary — ta i tak niewiedzieć co zrobić ze sobą?

— A cóż z chatą, z gruntem twoim? — zapytał Szeremet głosem zmienionym od wzruszenia.

— Ta, to nie przepadnie, choć zmarnieje po trochę. Znalazłem tam komorników na chatę, ale jeszcze nic mi nie dali za komorne. Mnie tam i nie dużo potrzeba. Co tam życie. Pan wie, kochałem dziewczynę, ot, i nie ma już co kochać, a ja jeszcze kocham! Wydali ją za pijaka — umarła nieboga... Oh! co mi tam świat!

I westchnąwszy — dodał po chwili:

— A co, może mię pan przyjmie?

— Sam nic nie mam! Ale jeżeli zechcesz przyjąć schronienie w mojej izdebce — to dobrze. Masz tu numer, i resztę — gdzie się dopytać? — przeczytasz sobie, bo nie mam czasu. Zastaniesz tam młodego człowieka, który się nazywa Cezar. Do widzenia!

Tak poinformowawszy przybysza, puścił się Szeremet na dół ku miastu. Uczuł wyrzuty sumienia; postawił mu przed oczy odstępstwo człowiek prosty, ale sumienny i cokolwiek oświecony. Żądano, aby świadczył nie według prawdy, lecz on przeniósł dobrowolne wygnanie nad spokój domowy, bojąc się utraty spokoju duszy.

— Czemże byłbym w oczach jego? — pomyślał Szeremet — gdybym mu przedstawił jasno to, co chciałem zrobić przed chwilą dobrowolnie? — I długo nie mógł się uspokoić. Biegał bez celu po ulicach, to znowu zwalniał kroku, stawał przed każdem oknem, gdzie spostrzegł kartkę przyczepioną, stawał i czytał. Ale wszystkie ogłoszenia poszukiwały same pracy, ofiarowały ręce lub dawały pomieszkanie za gotówkę — żadno nie szukało ludzi do tego lub owego uzdolnionych. Szeremetowi zaś,

potrzeba było nazajutrz koniecznie pieniędzy, bo miał to być zasiłek dla Stasi, inaczej ona upadnie pod ciężarem pracy nad siły. Obchodził znowu po kolei wszystkie znajome mu miejsca, gdzie miewał zatrudnienie czasami, ale napróżno. Czas szybko mijał; źmierzchło się i wieczór się zbliżał. Już zapalano latarnie, nic nie znalazł; już godzina ósma wieczór, on nic nie miał, ani dokąd się udać. Siły go nawet opuszczały, rospacz ogarnęła! Godzina dziewiąta, dziesiąta — on ciągle na ulicy. Rospacz w sercu!

Co począć? co począć!

XII.

Tegoż dnia w południe nie powracał do domu pan Boromeusz; ale usiadłszy na Wałach ocierał uznojone czoło i myślał: — Dokąd teraz? — Postanowił nie pierwiej wracać do domu, aż znajdzie zatrudnienie. Odpocząwszy z pół godziny, powstał i puścił się wolnym krokiem ku przedmieściu Krakowskiemu.

Obchodził już po nieznajomych mu, napróżno; szedł teraz do znajomych, cokolwiek zamożniejszych. Bywał on u nich już kilka razy, a zawsze obiecywano w razie potrzeby, pomoc. Szedł więc teraz.

W pierwszym domu, dawnego przyjaciela, znalazł na wstępie oziębłość.

— Co to za jeden? — zapytał były przyjaciel pana Boromeusza, zwracając się do żony.

Żona tego jegomości, pani domu jak się zdawało i to wyłączna pani — odparła z oburzeniem:

— Co to za człowiek? — No, proszę! Nie udawałbyś, bo ja się brzydzę kłamstwem. To twój dawny przyjaciel. Ja ci dawno mówiłam, że nie lubię takich przyjaciół, ale teraz wypadało ci prosić go siedzieć.

Były przyjaciel zwracając się do pana Boromeusza — rzekł ozieble:

— Proszę pana siadać, — choć moja żona, słyszałeś, nie lubi takich przyjaciół.

Pan Boromeusz nie usiadł, ale co prędzej uchodził — wyrzekłszy pocichu: »Ten człowiek widzę do reszty ogłupiał!«

Pierwsza próba u tak zwanych starych przyjaciół nie bardzo była zachęcająca. Trochę także uspokojało go i to, że więcej tu widział niedołężności, niż złej woli.

Szedł dalej, przeszedł kilka ulic, zanim znowu wstąpił w progi jakiegoś starego przyjaciela. Był nim pan sekretarz. Żonaty, bezdzietny, szczery aż do przesady, ale pozornie, bo mówił tylko to, czego nie czuł. Lubiący niby mówić prawdę każdemu w oczy, co jednak częściej bywało grubjaństwem niż prawdą. Nie lubił wglądać w stosunki; ale lubił każdemu podawać radę, naganę i robić go uważnym na sens moralny, który łatwiej wypowiedzieć niż postawić go w życiu, w różnych, jakie człowieka stawią, okolicznościach.

Pan sekretarz przyjął dawnego przyjaciela otwartemi ramiony, nagadał serdeczności, gotów był na usługi. Pan Boromeusz oświadczył nakoniec poco przychodził. — Dopieroż kazanie. Słuchał, słuchał — nareszcie odezwał się:

— Ty widzę nie znasz życia, kiedy możesz robić mi zarzuty.

— Właśnie znam! A to największa sztuka — mówił pan sekretarz — ażeby zastosować się do położenia. Nie umiałeś tego — pokutujesz. — Nikt nie winien, tylko ty sam!

— I ja tak dawniej obwiniałem ludzi będących w nieszczęściu, ale przekonałem się, że niesprawiedliwie. Powiedzże mi co zrobić, gdy nie ma gdzie zarobić?

— Trzeba szukać, trzeba chodzić, nie spuszczać się na przyjaciół.

Pan Boromeusz umilkł, a po chwili powstając rzekł:

— Więc nie chcesz mi pomódz?

— Co to znaczy, co ja mogę — byłoby to niczem. Staremu przyjacielowi wypadałoby pomódz stanowczo, a tu zkąd wziąć? A nie chciałbym, Bóg mi świadkiem, robić z dawnego kolegi żebraka. Wstydzę się, doprawdy wstydzę się ofiarować ci cokolwiek.

— Ja prosiłem o pożyczkę — odparł pan Boromeusz.

— Wiesz, że miałem zasadę niepożyczania nikomu. Chciałbyś obarczyć mię wyrzutami sumienia, gdybym na starość odstąpił od zasady? Tego sam nie zechcesz.

— Ja nic nie chcę! Niech ci Bóg szczęści — wyrzekł pan Boromeusz idąc szybko ku drzwiom.

— Otoż to skutki marnotrawstwa, nieoględności! — zawołał pan sekretarz pozostawszy sam. — Już się spuszcza na ludzi, już mu się pracować nie chce, a młodszy odemnie.

I miał nad czem zastanawiać się do wieczora pan sekretarz, i opowiadać następnie żonie, jak już za młodu różnił się w zasadach i postępowaniu z panem Boromeuszem. — Jak to nieraz pan Boromeusz dostawszy studentem kilkanaście reńskich, zaraz wynagradzał sobie dnie pokuty spędzone o głodzie; — on zaś — pan sekretarz — jeżeli go spotkało szczęście i zebrał fortunę kiedy, to chował wszystko do kuferka. Z biedy przywykłszy do głodu, później, choć miał pieniądze nie użył ich, bo przyzwyczajenie do niedostatku stawało się dlań potrzebą. Miło mu było chodzić o głodzie, kiedy wiedział, że kilkanaście reńskich jest w kuferku, a kilka jeszcze czuł w kieszeni.

Pan Boromeusz szedł tymczasem dalej, jeszcze do trzech przyjaciół. Pokazało się, że ci zapomnieli nawet o nim, sądzili go dawno umarłym... i każdy żegnał się prawie.

Pan Boromeusz pożegnał ich także — na zawsze. — Poszedł ku miastu i wchodził do każdego handlu, kłamiąc, że zna się doskonale na handlu, potrzebuje tylko miejsca. Wszędzie odprawiono go grzecznie z niczem. Odważył się wstąpić do znaczniejszego magazynu. Na wstępie zapytano uprzejmie czego sobie życzy?

— Mam interes do samego pana!

Usłużny chłopak poprowadził go na górę do właściciela.

I tu tak samo zapytano, tylko jeszcze grzeczniej:

— Jestem na usługi — co pan roskaże?

Pan Boromeusz był odważniejszy, bo znajdował się, tylko z samym kupcem bez świadków.

— Ja to... — odezwał się — chciałem pana prosić...

Kupiec popatrzył bystro w oczy panu Boromeuszowi, ale powtórzył grzeczniej jeszcze:

— Czekam, co pan rozkaże?

— Panie! jestem nieszczęśliwy...

— Ja nie sprzedaję szczęścia — odparł kupiec, i usiadł na dawnem miejscu.

— Zechciej mię pan na serjo posłuchać...

— Szkoda czasu — proszę do rzeczy.

— Potrzebuję zatrudnienia, pracy. Robić będę cokolwiek, może książki prowadzić! Jak pan widzisz nie młody jestem, obarczony rodziną...

— Co mnie to obchodzi — przerwał kupiec — proszę do rzeczy!

— Może mógłbym znaleźć zajęcie u pana?

— Proszę o świadectwa!

— Byłem urzędnikiem — jednak...

— Nie traćmy panie czasu! Ja pana nie znam, pańska rodzina mię nie obchodzi, ani pański wiek, pan nie masz świadectw, nie jesteś fachowym. Kłaniam się panu!

Pan Boromeusz zeszedł na dół do magazynu, wyszedł na ulicę; już zmrok zapadał — nie wiedział, bo nie patrzał dokąd idzie. Szedł bezmyślnie, wodził błędnem okiem po ludzich, którzy w różne dążyli strony. Każden miał cel jakiś, on jeden chodził jak warjat. Miał wrócić do domu z pomyślną wiadomością — tak obiecywał; tymczasem dzień mijał i nadzieja go omijała. Upadał na siłach i upadał pod nawałem cierpień — na myśl o rodzinie. Już miał wracać do domu, gdy nagle zawrócił na Pańską ulicę i szedł ku miejscu dawniej zajmowanego pomieszkania.

Przypomniał sobie, że w tym samym domu mieszkał na pierwszem piętrze bogaty kapitalista. Mówiono w kamienicy, że to ludzki człowiek. Tam jeszcze chciał sprobować szczęścia.

Wszedł na pierwsze piątro i zadzwonił. Lokaj otworzył.

— Czy pan w domu?

— W domu!

Pan Boromeusz odetchnął; sądził bowiem, że bogacz nie ukrywający się przed ludźmi, w istocie ludzkim będzie.

— Proszę mię zameldować!

— Jak mam?...

— Powiedz, że ten urzędnik co mieszkał w tym samym domu na drugiem piętrze.

Lokaj wyszedł i po chwili znalazł się pan Boromeusz przed panem kapitalistą.

Opisawszy po krótce przejście swoje od wyrzucenia z kamienicy aż do chwili obecnej, poprosił pan Boromeusz o zatrudnienie.

Pan kapitalista namyślał się długo, nareszcie zaczął z flegmą:

— Zatrudnienia nie znajdę dla pana, bo sam interesa moje załatwiam, i najlepiej na tem wychodzę. Cóż więcej mogę dla pana zrobić dobrego?

— Rzeczywiście... — wymówił pan Boromeusz nie wiedząc: czy odchodzić, czy czekać?

— Hipoteki nie posiadasz pan? — zapytał znów po chwili kapitalista.

Pan Boromeusz uśmiechnął się boleśnie.

— Szkoda — ciągnął dalej kapitalista — moglibyśmy zrobić interes.

Pan Boromeusz chciał już wychodzić, gdy żona pana kapitalisty zapytała:

— Pan masz podobno córeczki!

— Tak pani! mam trzy córki.

— Gdybyś pan chciał pomódz sobie tym sposobem?...

— Słucham — odparł pan Boromeusz.

— Gdyby córki poszły do obowiązku. Ja potrzebuję właśnie pokojówki...

— Co pani mówi?!

Pan kapitalista, widząc oburzenie Boromeusza, odezwał się do żony:

— Tak, co też ty mówisz? Lepiej przecie z głodu umierać, niż zapracować i żyć.

O! lepiej panie! lepiej — zawołał pan Boromeusz — ja mówię, który to czuję: lepiej nie żyć, jak pracować w poniżeniu. Nie każda służba jest chlebem, nie każden człowiek chce być niewolnikiem! Ale dziś widzę chcą nas nakarmić chlebem poniżenia.

— Jak za jaką monetę — zaczął chłodno pan kapitalista; lecz pan Boromeusz nie słyszał już tego, był już za drzwiami. Znękany, zziębnięty, z troską na czole, z bolem w sercu powlókł się ojciec rodziny do domu. — Co kilka kroków stawał, usiłował myśleć, wymyśleć co nowego, nie był w stanie. Rospaczał. Zrana wychodził z ogrzanem sercem, pełnem nadziei. Świat napoił je goryczą...

Był już niedaleko domu, znowu stanął — westchnął:

— Poco mi to życie? Zawadzam im. Dzieci pracują na mnie. Boże! poco mi żyć dłużej! (C. d. n.)

Rejtan.

Tragedja historyczna w pięciu aktach

przez

BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO.

(Dokończenie).

Scena VII.

KRÓL, PONIŃSKI.

(*Król padł w krzesło niemy, drżący — ręce skrzyżował na piersi*).

PONIŃSKI (*z ukłonem szyderczo*).

Wasza królewska Mość, sam też nareszcie
Poznałeś franta — nawet majestatu..
Wobec... Wypadek ten gruchnie po mieście!...
(*Kłania się i chce odejść*).

KRÓL

(*porywa się i chwiejny trzyma się obręczy krzesła*).

Zaczekaj!...

PONIŃSKI.

Chciałbym znaleźć sprawiedliwość,
Gdzieś tam samopas chodzącą...

KRÓL (*z najwyższym bolem*).

O, wstydzie!
Czekaj Waść...

PONIŃSKI (*zbliża się*).

Głosu nadzwyczajna tkliwość
Wróży mi, że już sprawiedliwość idzie...

KRÓL.

O! to szyderstwo!... Jakiem nowem prawem
Król ma je znosić? Ja — król!

PONIŃSKI.

Najjaśniejszy!
Ja czekam...

KRÓL (*siląc się*).

Rzecz się rozstrzygnie niebawem —
Zostaw nas Waszmość samych teraz!

PONIŃSKI.

Lżejszy
Sen na dobranoc, niżli ten jaw czarny,
Od serca życzę, i zawszę królewskiej
Waszej Miłości sługa...

(*Odchodzi*).

KRÓL (*sam, w najwyższej niemocy, porywa się z siedzenia*).
Robak marny!...

(*Zakrywa twarz i tupie nogą*).

Cha, cha!... (*Gwałtownie*).
Hej! hola! (*Dzwoni silnie, chodząc po pokoju*).
— Kto żyw, za kord chwytaj!
Straszna obraza tego majestatu!...

(*Wchodzi Paź ze spuszczoną głową*).

Bieżaj — a w sztuki porąb! nic nie pytaj!
Płataj! a przynieś mi nieco z szkarłatu
Krwi zdrajczej, niechaj me oko ogarnie
Tę zbrodnię!...

PAŹ (*dobywa kord*).
Panie, gdzie mam zejść zbrodniarza?

KRÓL.
Tam... uszedł... Uszedł? i uszedł bezkarnie!
Uszedł — i może już komu powtarza?...
Daremnie! — Uszedł, po strasznym rozboju!...

(*Pada w krzesło — po chwili z rezygnacją*).

O wielkie nieba! już wam zapłacona
Ta złota obręcz... (*Spokojnie*).
Ciszy mi, pokoju
Tyle, co ma go istota zrodzona
W chacie najlichszej!...

(*Po chwili stanowczo*).

Będzie, będzie cisza...
O! bo pan Rejtan, co najmniej lunatyk...
Ten jego występ całkiem mię rozgrzesza
Od jakichś węzłów... Szaleniec! fanatyk...
Basta! — Ku niemu już wszystko przycichło
Czucie; miecz jego w oczy mi uderza —
Skończę!... (*Do Pazia*).
Pośpieszaj mi Waszmość co rychło
Po koronnego i Litwy kanclerza.
Wraz niech przybędą tutaj — proszę, czekam.

(*Paź odchodzi*).

Scena VIII.

KRÓL (*sam*).

O biada, biada panom takiej nacji!...
Więc też zupełnie na przyszłość uciekam
Od spraw publicznych. Do konfederacji
Chcecie mię? dobrze! — a jeszcze gdzie?... lepiej! —
Jak ślimak zamknę się w swojej skorupie,
Z djabłem przystanę, a niech się odczepi! —

(*Odchodzi*).

Scena IX.

GACYK (*wydobywając się z swej kryjówki*).

Hej, hej! wysłuchać to wszystko w tej ciupie,
To także zda się! — Ludziska namiętne!
I patrzaj! wszystkich brali tu w rachubę:
Mnie zapomnieli!... Gdzież owe ponętne
Starostwa? dobra stołowe? — Gdzie lube
Wpływy?!... Na starość człek się zbłaźnił przecie! —
A już też widzę tak jakby na dłoni,
Że mecenasa nie znajdę na świecie —
A więc urządzam życie do mej broni
Własnej i głowy! — Zdała się nauka!
Zje djabła kto mię raz drugi oszuka!

(*Odchodzi*).

Koniec aktu czwartego.

Akt V.

(*Izba poselska jak w akcie III.*).

Scena I.

REJTAN otulony futrem siedzi w krześle głęboko zamyślony;
KORSAK przy oknie.

KORSAK.
Świta; dzień trzeci już zastał bezsennych...
To coś jak przedsmak wieczności...

REJTAN (*podchodzi do okna*).
O Boże!
Powietrze pełne zapachów wiosennych,
Ptaszek hejnałem wita nową zorzę..
A w mojej głowie...

KORSAK.
Sprawa za mozolna! —

REJTAN.
Ej, panie-bracie! co też Waszmość gada!

KORSAK.
Niewdzięczna bardzo ta kaźń dobrowolna...

REJTAN.
Te słowa właśnie jak twoja twarz blada
I niewyspane oczy... Kto poziewa
Niech się spać kładzie! czuwać trza na straży! —
Z ptaszki ot lepiej niech Waszmość zaśpiewa...
Nie wyjdzie nigdy dobrze, kto się skarży!

(*Mruczy pod nosem, chodząc po sali*).

„Kto się w opiekę..."

(*Przystaje nagle*).

Starość! nie chce sączyć
Myśli porządkiem! — Starość! gdzież urwałem?...
Dalej!... (*Po chwili*).
Nie mogę modlitwy dokończyć...
Starość! — Bywało w domu, dzieckiem małem
Składam na matki kolanach rączęta,
Modlitwę całą mówię czysto, płynnie...
Dziś już człeczysko całej nie pamięta!
Starość!... Przed Bogiem nią się uniewinnię!
Anioł młodości, ten dobry obrońca
Wstawi się za mną, żem wypadł z kolei
I nie dośpiewał tej modlitwy końca,
I żem z modlitwy dziś, nie miał nadziei!

(*Wchodzi Paź*).

Scena II.

DAWNI, PAŹ.

PAŹ.
Biedne pacholę, niezamożne wpływem
Ani dostatkiem, łzę przynoszę Waściom...
Przyjmijcie, proszę, ją sercem życzliwem;
A pochylonym ku strasznym przepaściom
Niech będzie gwiazdą!...

REJTAN.

A więc chwała Bogu,
Że mi tu zsyła łzy w tę ciężką chwilę,
I przypomina na wieczności progu
Dziateczki własne, co patrzą tak mile!
Moje!...

PAŹ (*łkając*).

O! straszną ja tu wieść przynoszę..
Na miłość Boską zaklinam was przeto:
Hamujcie żałość swoją!... (*Po chwili*).
Nie wygłoszę!...
Nie — sami z ócz mych wyczytajcie złe to!...

REJTAN (*ponuro*).

Wiem — lecz dopowiedz...

PAŹ (*po chwili wahania*).

Dzisiaj o północy
Jegomość król nasz... przystąpił!...

REJTAN.

Ha! i on
Już z Filistyny?... Dla Dawida procy
Znalazł się Goljat? — więc pójdźmy na Syon
Zawstydzić liche te dusze — bezwstydne!

PAŹ.

Na Boga! oczy Waści na podłodze
Błądzą okropnie!...

REJTAN.

Cyt! rzeczy ohydne!...
To też ja serca mego nie chłodzę —
Niech tli, niech gore, oczy wlepiam w ziemię,
W to suche drzewo — zatli! spalę gmachy!
Aż runie wszystko na mnie — na to ciemię
Nieustraszone...

PAŹ.

Boże!

REJTAN.

Lachy, Lachy!
Jesień waszego drzewa liściem miota
I orle gniazda wasze do kałuży
Już postrącała! Czemuż wam Golgota
Serc nie ocali z tej jesiennej burzy?
Za siebie tęskne wytężacie oczy,
A wszakże nie tam Bóg — Ten przodkujący!
Przed wami stoi Ten, co z wami toczy
Światy — za wami zmierzch i grób cuchnący:
A twarze wasze nabierają w miarę
Wpatrzenia w noc tę, trupich piętn!... Zaiste,
Do trumien żywym wam!... Na taką karę
Bowiem, skazane serca napuszyste —
Bez śladu zginą!...

KORSAK (*do Rejtana*).

Dziś skończą?

REJTAN.

Tak, pięknie
Trza skończyć sprawę! pięknie!... Król artysta,
Niechże się sceny ostatniej przelęknie...
Bo to w tragedji śmierć zawsze korzysta,
A król Jegomość miał zapowiedzianą
Tragedję!... Trunna bohatera wiekiem
Już się nakrywa i nie przepomniano
Goździ, bo wejdzie król i będzie ćwiekiem,
Co spoi wieko z trunną... Smutna rola
I niepokaźna wcale, a królewskiej
Twarzy ucierpi na niej aureola...
Ha! Autor wielki od grobowej deski
Chciał — widno — rzucić światło na postacie,
Więc wyczekiwać trza chwili fatalnej...

PAŹ (*idzie do okna*).

Słyszę odległe gwary... (*W oknie*).
W majestacie
Pełnym, Jegomość król oto, pochwalny
Idzie hymn złożyć na sejmu otwarcie —
A za nim długim szeregiem posłowie...

KORSAK (*do Rejtana*).

Mówże, cóż poczniem?...

REJTAN.

Zostanę na warcie,
A król jak przyszedł, tak wyjdzie — na zdrowie! —
Zostanie chyba, gdy we krwi ugrzęźnie:
Bo ja zostanę! jeszczem zdrów i rzeski!...

KORSAK.

Siedźmy tu zatem, własnej woli więźnie...

PAŹ.

Waszmościów Matce polecam niebieskiej!
Oby was anioł zbawił!... Straszne dzieje,
Jednak straszniejsze męki ludzkie, wasze!
Z tem mi w pamięci przejść życia koleje:
To wtedy ludzkich gróźb się nie przestraszę,
Ani upadnę przed śmierci postrachem
W najświętszej sprawie!..

REJTAN.

Waść się tu rozkwilił
Jak łastóweczka nad palącym dachem
Gniazda swojego!... Bogdaj ci przychylił
Stwórca anielskich cnót i owej woni
Serca, co pszczółek ludzkich jest ponętą!
A serca twego tętno niech przedzwoni
Jak dzwonek brzmiący przeciągle mszę świętą!...
Błogosławieństwem takiem ja dziś złocę
Was, którym będzie ta wielka Ojczyzna
Legendą chyba... was, biedne, sieroce
Dziateczki! Tażto jest wasza spuścizna
Z skarbcu Chrobrego? — Spytacie nas: Tata,
Coś nam zostawił?... groby i manowce,
Oręż złamany, niewolę i kata!...
Och, biedni! co są jakby pogrobowce
Swojej Ojczyzny!

PAŹ.

Spokoju! spokoju!
Ta boleść wyssie Waści krew — zabije!

REJTAN.

Trupem wychodzi się z takiego boju...
Słyszysz?...

(*Przyciska go do piersi*).

Jak z serca ciepłą krew mi pije
Zgryzota!... Trza się u Boga zadłużyć
Na życia kilka chwil — jeszcze mi trzeba...
Słowikom tylko w pieśni się nie nużyć,
Ni ustom ludzkim w pożywaniu chleba:
Serce? przepyszne — lecz słabsze naczynie...

(*Słychać za drzwiami kroki*).

PAŹ.

Ha! ktoś nadchodzi..

(*Podsłuchuje pod drzwiami*).

Nadchodzi...
(*Odchodzi*).

REJTAN (*wyczekujący strasznie*).

Śmierć wietrzę
I trupa...

(*Wchodzi Poniński i drżący w progu zostaje*).

Scena III.

DAWNI, PONIŃSKI.

REJTAN (*do przybyłego*).

Jeszcze duch wichrzy w tej glinie,
A tyś już przyszedł? Wiesz, że on cię zetrze
W miazgę, czerwony kacie!...

PONIŃSKI (*krokiem naprzód*).

Bóg rozstrzygnie!

REJTAN.

Powtórz to, powtórz: Bóg sędzią?

PONIŃSKI.

Więc piekło,
Jeśli chcesz — puszczaj!... Ten człowiek w malignie,
Lub opętany!

REJTAN.

Więc cóż? czyś rozwlekłą
Przyszedł tu prawić perorę — senator!
Czyś przyszedł szukać nowego przekleństwa?
Czy może w dniu tym, niby tryumfator,
Chcesz być za chwilę świadkiem mego męztwa?
Mów!...

PONIŃSKI (*po chwili słodko*).

Panie-bracie!...

REJTAN.

To jakoś miodowo
Brzmi, a kwileniem krokodyla cuchnie —
Cóż dalej?...

PONIŃSKI (*na stronie*).

Chmurę na siebie gromową
Ściągnę, gdy zajście to po kraju gruchnie...
Więc dobrze! może się uda złagodzić?...

(*Do Rejtana*).

Przyznam Waszmości — to jest...

REJTAN.

Pojąć trudno
Dotychczas...

PONIŃSKI.

Otóż, ażeby ugodzić
Wprost w jądro rzeczy, powiem, że chcę nudną
Obydwom stronom zakończyć igraszkę,
Ot — pogodzeniem...

(*Rejtan milcząc patrzy na niego z ironią*).

Ja Waści zaklinam
Na miłość kraju i na pamięć przodków!...

REJTAN.

A ja Waćpanu w odpowiedź wspominam
Czyn twój ten, godzien haniebnych wyrodków!
Czyn, który wszystkie myśli me i nerwy
W rózgi zamienia ogniste, bym smagać
Miał czem zbrodniarza! — Pojednać?... O, pierwej
Samego Boga zdołasz ty przebłagać,
I wszystkie moce na zdrajcę zawzięte
Skruchą rozmiękczyć i suchemi łzami,
Niż mię, co sprawy twe stokroć przeklęte
Zabieram z sobą w grób... Więc póki snami
Twojego mózgu, ja — duch, znajdę ściegi
Do objawienia się — ot, z taką twarzą!...
To wiedz, że straszne będą twe noclegi,
A we dnie myśli cię same przerażą
Odradzające sen... Skończyłem z tobą!
A mówię ci to jak wdowiec samotny,
Po swej Ojczyźnie okryty żałobą
I cały łzami rospaczy wilgotny,
Bowiem Umarłą tę, syn zabił własny,
Któremu kazał Bóg być moim bratem...
A zaś tym zbójcą — ty jesteś, przejasny
Panie! niezwykłym zbójcą — jesteś katem!...

PONIŃSKI

(*długo milczy, hamując się widocznie — spokojnie*).

Daj Boże Waści jaśniejszego sławy
Mojej widzenia! — Lecz to przyjdzie samo
Z czasem, a dusza moja bez obawy,
Gdyż nie okryta tą okropną plamą
O której mówisz... Świat cały to powie!

REJTAN.

Ha! więc to serce kłamie?...

PONIŃSKI.

Dość goryczy!
Waszmość tu zszargasz swoje dobre zdrowie,
A bez powodu... Jeśli się obliczy
Z faktem tej sprawy, nie warto i splunąć!...
Pomyślmy tedy statecznie o zgodzie...
Czyż sam chcesz ziemię z pod nóg swych wysunąć?
Trzy doby wszakżeś o chłodzie i głodzie...

REJTAN.

Ej, szatan z Waści biegły! ani słowa!...
Waść jesteś mistrzem skończonym swej sztuki!
Waść znasz naturę ludzką!... (*Słania się*).
Moja głowa!...
O! teraz czuję tu... żarłoczne kruki — —
Okropną była ta twoja pokusa,
A węże łamią moje biedne członki...
Czyliś ty ten sam, co kusił Chrystusa
Kiedy w pustyni żywił się korzonki?...
Mdło mi...

(*Usiada i łamie się z bolem*).

Zwątpienie rośnie jakieś we mnie!...

(*Długa chwila walki*).

Tam — przy domowem ognisku mir cichy,
Tutaj... za chwilę, blady trup! — (*Po chwili*).
Daremnie!!

(*Pada krzyżem na podłogę i całuje*).

Tutaj zbawienie, wszystko — tu!...

(*Słychać odległe dzwonienie*).

PONIŃSKI (*po długiej chwili niemej złości*).

Dość pychy!
Teraz mów: nie masz między nami miru?

REJTAN.

Przez całą wieczność, a wieczny Bóg świadkiem!...

PONIŃSKI.

Zgoda, na wstręt ten...

(*Idzie do okna*).

REJTAN (*stał się bardzo ponurym*).

W oczach pełno kiru —
W uszach coś dzwoni... ha! (*Nadsłuchuje*).
To nie przypadkiem
Dzwoni mi w uszach... żywe! żywe tony!

KORSAK (*do Rejtana*).

Przebóg! co Waści jest?...

REJTAN (*przed siebie*).

Krew mózg rozsadzi!...

(*Rzuca się w krzesło*).

KORSAK (*do siebie*).

Źle!...

REJTAN.
Groby — gruzy — zgliszcze — głodne wrony...

PONIŃSKI (*zbliża się do Rejtana*).
Znajdzie się przecie ktoś, co tu zaradzi —
Więc zapowiadam Waści odwidziny
Samego króla Jegomości; — oto
Nadchodzi właśnie, by potępić czyny
Sprośne Waćpana, jak też z moją cnotą
Tu się sprzymierzyć...

REJTAN (*chwyta się za głowę*).
Głowa moja, głowa!...
I ten dzwon jęczy... pierś mi ciężko dysze...
O! patrzcie, jaką pieśń stroi Jehowa:
Nerwy Mu moje służą za klawisze,
A śmierć się śmieje tam... w sieni... kościana!

PONIŃSKI (*do siebie*).
Radbym znów odwlec tę chwilę fatalną!...

(*Gwary w sieni*).

KORSAK (*do Rejtana*).
Zbierz zmysły... słyszysz? nachodzą!

REJTAN (*zrywa się i dobywa szabli*).
Wygrana! —
Straszną, ostatnią stoczę bitwę walną...

(*Łamie szablę i odrzuca od siebie daleko*).

Precz! — (*Do Ponińskiego*).
Hym, coś z Waści patrzy dusza owcza?...
Strach! strach!...

(*Wchodzi Oficer gwardji królewskiej i staje u drzwi. Loże napełniają się kobietami, między któremi jest Lully. Poniński posyła jej całus, który ona mu oddaje*).

OFICER (*u drzwi*).
Jegomość król —

REJTAN.
Niech mię wypędzi
Z tej sali!...

KORSAK.
Chwila nadeszła stanowcza...

Scena IV.

Wchodzą: KRÓL, MŁODZIEJOWSKI, LUBOMIRSKI, RADZIWIŁŁ, GACYK, cały Senat i Poselstwo, za nimi PAŹ — DAWNI.

(*Rejtan jakby nie widział wchodzących chodzi po sali*).

KRÓL (*po długiej chwili wahania*).
Zważywszy...

REJTAN.
Pan mój niech sobie oszczędzi
Słów, co z trudnością przechodzą przez usta...

(*Ostro*).

Wiem!!...

KRÓL.
Słuchaj tylko!...

REJTAN (*myśląc wytężenie*).
Słucham teraz Boga!...

KRÓL (*do otoczenia*).
Ten człowiek chory —

REJTAN (*rozglądając się po sali*).
Sala ciemna, pusta,
Chciałbym wyjść — każą! — a nie wiem gdzie droga?...
Król we drzwi... nie masz innego wychodu?...

KRÓL.
Człowieka tego ratować potrzeba!
Żywo, lekarzy! Osłabł pewnie z głodu...

REJTAN (*zbliża się do okna*).
Ha! mam... Znalazłem już drogę — do nieba!...

(*Tłucze szybę i połyka szkło*).

(*W sali i w lożach zamięszanie i wrzawa — wszystko tłoczy się do umierającego*)

KRÓL.
Boże! okropna śmierć!...

REJTAN (*słabym głosem*).
A jednak wasze
Życie straszniejsze!... Lecz to tak być musi!...
Krwią własną, własne ja ognisko gaszę —
Niech mi przebaczy Bóg!... (*Słabnie*).
Śmierć krztusi, dusi,
Ale okropniej wam!

KRÓL.
Ja płaczę synu!...

(*Ociera łzy*).

REJTAN.
Zapłakać wszystkim wam rzewnie, nad sobą!...
Nauczcie wy się płakać łzami czynu
Nad ruinami swoich serc, chorobą
Rozumów swoich i tą wiarą w cudy,
Która waszemu Bogu tak ubliża!...

(*Z najwyższą boleścią*).

O! tak być musi!... Niech się uczą ludy
Płakać straconej Ojczyzny!... Krzyż — krzyża!...

(*Podają mu krucyfiks — całuje i kreśli nim w powietrzu znak krzyża*).

Opamiętanie wam!... (*Umiera*).

PAŹ (*rzuca się na trupa*).
Mój ojcze drogi!
Ty nie opuścisz nas! nie umrzesz przecie!...

(*Po chwili do króla z godnością*).

Pozwól mi panie, opuścić twe progi,
Na zawsze...

KRÓL.
I ty?

PAŹ.
Ja! — Pójdę po świecie
Głosić, jak kochać kraj, jak za kraj ginąć!...

(*Wychodzi*).

KRÓL (*ociera łzę*).
Wszyscy!...

GŁOSY.
Okropny trup!...

KRÓL.
Dziwnie królewski!...

(*Do Ponińskiego*).

A Waszmość panu przypadnie zasłynąć
W potomstwie, z strasznej tej grobowej deski...
Życzęć pogodnych snów!...

(*Odchodzi z wieloma Senatorami i Posłami*).

PONIŃSKI (*wzdrygnął się*).
Przeklęta sprawa!...
Hej, służba! trupa tego wynieść z sali — —

GACYK.

Zwolna! nie widzisz, że ta Izba krwawa?
Wymyj ją Waszmość pierwej z krwi, nim dalej
Zechcesz sejmować!

PONIŃSKI.

Łotrze! ty?

GACYK.

Ja, nie ja —
Zdrajco! Kończ zbrodnię. Dla mnie jest nadzieja
W miłości mojej Ojczyzny! — —

Koniec aktu piątego i ostatniego.

Akwarelle Franciszka Tepy.

W kraju i za granicą wzbudziły zajęcie miłośników sztuki, prace artystyczne p. Tepy. Niezaprzeczona wartość takowych wkłada na nas moralny obowiązek: bliższego zaznajomienia się z talentem artysty, by wiedzieć: czego odeń wymagać mamy jako namaszczeńca sztuki?

Gdy mamy dzieło przez sobą, lub cały szereg prac pozwalający orzec stanowczo o drodze, na którą wszedł talent artysty — rzeczą naturalną będzie rozpatrzeć: się czy i o ile droga wybrana przez artystę jest dlań właściwa? jakiej wartości są dzieła, których jest twórcą, i do jakiego miejsca dają mu one prawo w szeregu mistrzów?

Ideał — jest pierwszem i ostatniem słowem sztuki pięknej. Bez niego istnienie jej nie możliwe. Ta ze sztuk, która nie dobiega, nie odtwarza ideału — piękną nie jest, i prawa do miana sztuki-umnictwa nie ma! I sztukmistrzem też będzie tylko, ten, kto przeoczy ów cel wyższy, podniosły: urzeczywistnienie ideału; do świątyni sztuki, z mianem jej kapłana nie wejdzie, pozostawszy u jej dalekich przedsionków tylko.

Dzieło — wówczas zasługuje na to miano, jeśli przestawszy być materją, zdoła sobą odtworzyć świat wyższy, ducha dziedzinę — przedstawić sobą piękno.

Że malarstwo jest sztuką piękną, że jako taka łączy niebo z ziemią, ducha z materją — pewnik to nieobalony... Że to jest sztuka jedna z najpotężniejszych, że nawet boskość sobą przejawić nie jest dla niej trudnością, dowodzą nieśmiertelne dzieła Rafaelów, Murillów i innych mistrzów wielkich po wszystkie czasy... Nie o tem też mówić tu mamy. Chodzi nam o zastrzeżenie się, że sztukę pojmujemy w całej jej wielkości, że jej nie znamy wówczas, gdy traci swój charakter podniosły, gdy się staje o z d o b n o ś c i ą tylko, zniżając się do znaczenia rzemiosła. Takie zastrzeżenie się tem jest potrzebniejsze obecnie, że rozumienie piękna mało jest rozpowszechnionem w ogóle, a szczególniej wśród naszego społeczeństwa, które umie fotografję podnosić do godności artyzmu, zręcznego tancerza zwać artystą, malarza porcelany czcić imieniem mistrza.

Pojmujemy sztukę jako sztukę tylko, która nigdy środkiem, ale jest sama dla się celem jedynym; która ma jedno tylko zadanie: dać piękno idealne; mocą wyższą zakląć ducha, by przeświecał z marmuru, płótna, tonów, natchnionego słowa... To tylko, a nic innego nazywamy s z t u k ą p i ę k n ą, i dzieł tego rodzaju wymagamy od ludzi pragnących zasłużyć na miano artysty.

Mniejsza o środki, któremi rozporządza artysta, i o wielkość dzieła nie chodzi nam wcale, bo wielkiem ono będzie widniejąc z tumu gotyckiego, oratorjum Hejdna, posągu Torwaldsena, lub z kartonów Grottgera. Piękno jest wszędzie pięknem, i jako takie wielkiem jest zarówno.

Nie zraża więc to nas wcale, że obecnie mamy doczynienia z akwarellami tylko, i artystą, któren oddaje się tego rodzaju malarstwu. Akwarella, tak dobrze jak malowidło rozporządza całą pełnią farb, może wywołać wszystkie efekta, posiada to wszystko, co służy malarstwu.

Wszelka praca, a więc i artysty, o którym mówić mamy, dając miarę jego talentu, przedstawia się: raz jako dzieło sztuki, drugi raz podjęta zbiorowo, pozwala orzec stanowczo: jest li pracownik artystą i jakiej potęgi artyzm jego dosięga?

Ostatni wzgląd jest dla nas ważniejszy, i dla tego najpierw zwrócimy nań naszą uwagę.

Akwarelle p. Tepy, najczęściej przedstawiają pojedyncze postaci osób, głównie mieszkańców naszego kraju. Są li to portrety usiłujące schwycić niewolnicze podobieństwo? wizerunki to osób, przedstawiające ich zewnętrzność, czy typy? a w ostatnim razie: czy prześwieca z nich wyższa duchowa poświata? czy też stronę tę, po za materjalną, pominął p. Tepa?... Odpowiedź będzie stanowiła o wartości talentu, o stanowisku, jakie zajmuje artysta.

A odpowiedź jest trudna.

Gdy staję przed akwarellami p. Tepy, uderza mię najprzód: harmonja kolorów, jakby pełność tonów malarstwa, szczęśliwa kombinacja farb i w ich nakładaniu pewna oryginalność, nie małej zaprawdę wartości — i obraz budzi we mnie uczucie przyjemne, które już jest zapowiedzią, że nie z powszednią spotykam się pracą. Ale tego jeszcze nie dość, bo i u p i ę k n i e n i e, które nie jest dziełem sztuki, takież same wrażenie wywołać potrafi.

Wpatrując się bacznie w obraz, dostrzedz muszę małe zdrożności rysunkowe, które jednak, jako nie przeszkadzające, by dzieło mogło być pięknem — pomijam. W farbami oddanej postaci, zwraca główną moją uwagę twarz, ta księga otwarta, żwierciadło duszy, odbicie duchowej treści człowieka, — i chcąc wydać sąd o dziele, któremu się przypatruję — widzę się w położeniu kłopotliwem... Praca-ż to jest niewolnicza, czy twórczości dzieło? Jest li to odwzorowanie człowieka żyjącego, czy twarz idealna, którą artysta z duszy swej wyniósł i zaklął w materję, by z niej przeświecała? Z portretem li mam do czynienia, jako summą podobieństwa tylko, czy z dziełem sztuki?...

Odpowiedź bardzo trudna. A wątpliwości nie rozsieją nawet wskazówki p. Tepy; mówi mi bowiem, że to są „typy" a pod każdym z obrazów widzę podpis: G a z d a r u s k i s t a r z e c z P o t u r z y c y, M a r u s i e n k a z o k o l i c T r u s k a w c a, W ó j t z e S k o m o r o c h i t. d. Miałżeby w rzeczy samej wójt ze Skomoroch, lub Marusienka z okolic Truskawca być typem?...

Nie! bo typy żyją tylko w zbiorowej sumie indywiduów, ale ich nie ma w Skomorochach i Truskawcu. Prawdę więc mówi podpis, lub nie prawdę? Jeśli prawdę, tedy obrazy pana Tepy będą tylko: portretem wójta, dziewczyny i t. d. A wiemy: czem być mają portrety, jeśli chcą być oraz i dziełami sztuki. Samo podobieństwo nie wystarczy, bo w takim razie fotografja byłaby najkrótszą drogą dójścia do artyzmu... Tu potrzeba rzeczy większej nieskończenie, bo: odwzorowania ducha, wydobycia na zewnątrz i przedstawienia tego, co zwykłemu

oku nie okazuje się wcale, co dostrzedz umie tylko artysta, i przenieść do obrazu. Czy ta duchowość, przyobleczona w materjalną powłokę, widnieje z obrazów p. Tepy? — Z niektórych; bo gdyby tego nie było — krytyka artystyczna prace jego pominęła by milczeniem. O obrazach jego możnaby by było mówić, jako o szczęśliwie dokonanej pracy, o produkcie upięknienia; nigdy jednak, jako o dziełach sztuki.

Prawda winna być podstawą, treścią krytyki; ta więc prawda każe nam o dziełach artysty wydać sąd nie kierujący się uprzedzeniem, którego surowość ubliżyć mu nie może, ponieważ nie rodzi go zła wola.

Z prac dzisiejszych p. Tepy wnosząc, ma on tylko t. z. talent estetyczny, albo inaczej: jest on tym talentem. Znamieniem bowiem talentu tego rodzaju jest: pomijanie treści, a hołdownictwo formie; zewnętrzność jest u niego na pierwszym planie, gdy wnątrz zaledwie potrącona; nie o pomysł mu chodzi, i weń ducha, myśli swej nie wkłada; bierze rzecz jaka się nadarza, i dopiero przez wypracowanie, przez ogładę, formę jej piękną nadając, podnosi do wyrazu piękna. Dla tego to obrazy p. Tepy nie są wyrazem treści, nie mają pomysłu; lecz celują skończonością formy. Artysta bierze postać, która nic nie mówi, w której namiętności nie grają, a więc żadnych trudności do pokonania nie przedstawia, i tej nadaje życie, równie jak sama postać nic nie mówiące... nadaje temu formę, i dzieło jest gotowe. Ale zato ile pracy formie tej poświęca artysta!... z jaką starannością odda każdy szczegół najdrobniejszy, każdą rzecz choćby najmniej znaczącą: zewnętrzność będzie tu łudzić podobieństwem, barwom nic zarzucić nie zdołamy; wykończenie wszędzie, wypracowanie wzorowe, kombinacja farb szczęśliwa, ich nakładanie umiętne... A jednak wszystkie te szczegóły wystarczyły by na to tylko, ażeby dać p r a c ę, a nie dać d z i e ł a; i taki też los smutny spotkać musi wiele obrazów p. Tepy.

Każden odbiera w miarę zasługi. Kto cząstkę ducha zaklina w swe dzieła, kto je tworzy — temu słuszna oddać hołd, i zajaśnieje imie jego jasnością nie ziemską ducha, widniejąc z tworów, które wydał ze siebie! Kto tej części lepszej połowy swej istoty nie złożył w swem dziele, kto ducha mu skąpiąc, dał formę tylko — ten nie odbierze innej podzięki nad takiejże samej wartości.

Nie zachwytu pieśnią uczczą go piękna miłośnicy, nie duch mu pokłon odda w skupieniu; ale materjalną będzie podzięka, tak znikomą i bez wyższego znaczenia, jak forma, jak zewnętrzność, za którą zapłatę odbiera pracownik.

Próżnoby więc p. Tepa pożądał, by jego obrazy zrobiły mu miejsce w szeregu mistrzów. Ci malowali swoją krwią i łzami, ci cząstkę ducha przelali w swe twory, dali im życie, istnienie wyższe — gdy on w piękne je tylko przyoblekł szaty, dał im zewnętrzność nadobną, dał im formę piękną; ale tylko formę.

Większość obrazów p. Tepy nie daje mu prawa do nazwiska artysty, i utracilibyśmy w nim jeden z objawów narodowej potęgi, gdyby go światu artystycznemu nie uratowały inne szczęśliwsze prace, już zasługujące na miano dzieła.

Sądząc z obrazów, p. Tepa w istocie rzemieślniczo zapatruje się na sztukę. Nie czując się na siłach, lub w obawie przed trudnościami, nie zdobywa się na kompozycję. Pracę ducha zostawia on innym; dla siebie bierze pracę rąk, i poprostu maluje portret, nie myśląc o niczem więcej, jak tylko o tem, ażeby podobieństwo było zachowanem zupełnie; ale w nim jest iskra genjuszu, jest boskości pierwiastek... a chociaż śpi głęboko na dnie duszy, ukołysany prozą życiową; chociaż żadnych, lub małe czyniono starania, by skrę tę w płomień rozniecić — budzi się on niekiedy, i momentalnym błyskiem prześwieci z formy, którą wypracowuje malarz...

Gościna jego krótka, potęga mała — a jednak pracę wynosi do godności dzieła, pracownikowi daje miano — artysty.

Kto talent w ziemię zakopie, jest winnym. Nie dość wrodzonych zdolności — potrzeba jeszcze pracować nad ich rozwinięciem. A pracy tu ducha, nie rąk potrzeba; nad jego podniesieniem, nad obudzeniem fantazji artystycznej pracować należy; a ona śpi w artyście, nie daje znaków życia i może zmarnieje całkowicie. .

Czy sił mu nie starczy na pomysł głębszy? czy tak się dał zhołdować formie, że treść nie ma doń przystępu? Czy braknie mu odwagi łamać się z trudnościami?... Lecz coż to za duch, który stroni od walki? Jakaż jego potęga, gdy się nie kusi o lot nie powszedni! Bezczynny spokój nie ducha znamieniem, lecz jest przejawem małości... Lot podniebny, nurzanie się w głębiach tajemnych ducha, zespolenie z Bogiem — to drogi, któremi genjusz kroczy! — Orły na szczytach gór, na nizinach żyją tylko robaczki!

Lecz powiedzą mi: „Nie każden chce, nie każden potrzebuje przemierzać się z ducha potęgą; są powołania skromniejsze, którym gdy się odpowie w zupełności — piękną zdobywa się zasługę“. Tak jest w życiu, tak w śród stosunków codziennych, ale nie w artyźmie! Ten połowiczności nie zna — wszystko, lub nic! Albo jest piękno, lub nie ma wcale; albo jest artysta, albo pracownik tylko!

Ubóstwo fantazji, przeglądające z obrazów p. Tepy w ogóle źle świadczy o jego artyźmie, i byłby on nijakim, gdyby nie te przebłyski wyższości, które jeśli imie jego wynoszą do godności imienia artysty, wkładają zarazem obowiązek, by sprawy nie zasypiał, ducha nie kołysał piosenką nieczynu; ale go w sobie rozbudzał, otrząsł z naleciałości, spotęgowywał... Bóg jest wielki, natura piękną; a w dziełach sztuki takie spoczywają skarby, że i prostacy zadrzeć muszą wewnętrzną roskoszą na ich widok. Czyliż by to wszystko na niego oddziaływać nie miało? na niego artysty — bo mu to przyznajemy, — na niego wybrańca sztuki?...

Wejścia w siebie, skupienia się, rozpatrzenia w dziełach mistrzów, przenurtowania własnych głębin ducha i ducha narodu — tego mu potrzeba! Tam bogata treść, tam materjał dla dzieła nieśmiertelnego — nie w formie, nie w zewnętrzności! Głowa Chrystusa, węglem odrysowana przez mistrza — jest dziełem nieśmiertelnem; a forma-ż tu zachwyca, zewnętrzność? Nie! z kilku kresek przebija, uzmysławia się wielkość nad wielkości, bo — boskość. Coż nas zachwyca w kartonach Grottgera? Czy forma, czy wypełnienie szczegółów? Nie! bo łzy bolu, zachwytu, czy radości, które mi obraz wyciska, nie pozwalają zwracać uwagę na formę, i ta staje się dla mnie obojętną... Potęga ducha, wielkość nie codzienna, moc wyższa — to mnie owłada, zhołdowuje sobie, i każe czcić mistrza! — Wzory są, potrzeba je tylko naśladować; lepiej jeszcze: z własnej mocy wysnuć treść własną, dać to z siebie, czego nam inni nie dali — być oryginalnym.

Jeżeli już kompozycja jest niedostępną dla p. Tepy, i cały swój talent skierował on wyłącznie ku oddaniu postaci po-

jedyńczych — zgodzimy się i na to; ale niechże to będą typy w istocie; niech będą portrety nawet, byle z nich duch widniał, byle dziełem sztuki były!

Piękna jest zaprawdę myśl uwiekopomnić, na świadectwo wiekom zakląć w obrazach ogólny wyraz, fizjognomję, ducha ludu... Jest i tu droga, nie do sławy tylko, bo tej duch wyższy nie pożąda — lecz do prawdziwej zasługi, do chwały narodu, do nieśmiertelności własnej... i na tej drodze radziśmy widzieć p. Tepę; ale niechże się nie uwodzi pochlebstwy, lub co g rzej: sądem nieuctwa; niechaj nie myśli, że do tego wystarczy forma bez treści, zewnętrzność bez wnętrza, materja bez ducha. Droga do sławy łatwa, bo na to potrzeba błysków tylko, szychu... lecz na nieśmiertelność zarobić może tylko twórca, ten tylko, kto w kruchą glinę — w materję umie tchnąć ducha, i nim ją ożywić!

Obrazy p. Tepy, znajdujące się na obecnej wystawie, są piękne; ale piękne formą, wykończeniem. Mają wszystko, tylko braknie im prawdy, a częściej ducha. Ten naprzykład, jak go artysta nazywa: „Typ młodego chłopca z Poturzycy“ — twarz to tak piękna, tak niepowszednia, że bez wahania można by pod nią dać napis: „poeta“. Jakże byłbym dumny, gdyby typ naszych chłopców z ludu był takim; niestety! wiem, że tak nie jest! Cokolwiek mówićbyśmy mogli o wyższości naszego ludu, o jego wartości moralnej — nie dobiega on do typu, jak go przedstawia p. Tepa w 11. swym obrazie?

Nr. 12. „Kobieta ruska, typ idjotki“ — jakiež to monstrum, jaki fałsz w podpisie! Jakto? pierwszy lepszy portret kobiety bezmyślnej, uprawnił p. Tepę do nazwy typu, z dodatkiem: kobiety ruskiej?... Jak w obrazie 11. artysta zanadto wyniósł, tak w obrazie nr. 12. ubliżył naszemu ludowi, a bardziej ubliżył sobie, gdy podobną twarz malował.

Pojmujemy znaczenie karykatury, malowanie oryginałów... są to wybryki artystyczne, jednak domacać się w tem można bodaj lichej podstawy; lecz malowanie twarzy bezmyślnej młodej kobiety, twarzy bez żadnego wyrazu — to żartem być przestaje — jest marnotrawstwem czasu i talentu!

Nr. 13, krom zalet właściwych pracom p. Tepy, nie posiada nic więcej. Nr. 2. „Chłopcy wracający ze szkółki wiejskiej“ — to już jakby kompozycja. W tem złączeniu chłopaków dopatrzeć się można myśli — politycznej, socjalnej... a bardzo wątpimy, czy malarzowi chodziło o coś większego!... i te malutkie twarzyczki chłopczyków mocno by się na niego żaliły, gdyby im artysta, bezwiednie, nie udzielił iskierki ognia, atomu ducha, który jak błędny ognik prześwieca z ich ocząt, i uratowuje sobą wartość obrazu.

Nr. 3. „Modlitwa żydów husytów.“ To także kompozycja; ale jakże biedna, jak skromna w zakresie: dwie postacie żydowskie, trwające na modlitwie bezmyślnej, — oto wszystko! Ducha tu niemasz, tylko słowa błędne tłuką się gdzieś u przedsionków przybytku Jehowy — i jako taki, obraz jest udatny, krom wad rysunkowych w figurze żyda siedzącego.

Dając artystyczny wizerunek Grottgera (nr. 6.) potrzeba mu było dać do oka ów piorun, który pruje tło obrazu; potrzeba mu było nie wymuskany wąs, nie czapeczkę wiernie na brew nasuniętą — ale dać potęgę i moc, która by głośno mówiła z twarzy malarza-poety, pozwalając w niej widzieć: Polonję, Warszawę, Litwę, Wojnę i cały szereg światów, które w duszy artysty wrą. zanim otrzymają chrzest swego odtworzenia się w sztuce.

W obrazie p. Tepy, może być Grottger, dobry jego znajomy, kolega, towarzysz — ale nie Grottger genjalny artysta.

Najlepszemi z wystawionych obrazów są „Gazda i Gazdyni“. Nr. 7 i 8. — Jeśli i żyją, lub żyli oboje w Poturzycy, jestem pewien, że w obrazie nic z nich nie zostało. Postacie oddane w tych obrazach już możemy zaliczyć do rzędu typów; a z twarzy tej pary włościan przemawia taka historja bolu i cichego cierpienia, że przypatrujący się obrazowi, i sam artysta zaledwie domyślać się mogą jej treści... *P. Stachurski.*

Korespondencje.

Paryż — *20. października 1868.*

Los mi służy zaprawdę! w chwili gdym tarł sobie czoło, myśląc jak i od czego zacznę tę pierwszą mą korespondencję, ten pierwszy krok na kronikarskiej drodze — fortunna gwiazda podsuwa mi obfite źródła, do długiej i szerokiej gawędy, o rzeczy, która tutejszy świat literacki zajmuje, która sądzę zatem i dla was zupełnie obojętną nie będzie.

Pp. Lacraix i Verbockhosen, właściciele księgarni „międzynarodowej“ w Paryżu, nabyli za skromną sumkę 500.000 franków, aż 10 tomów Wiktora Hugo, które wyjdą z pod prasy niedalej jak w kwietniu lub w maju roku przyszłego. Jak wam się podoba ten biedny wygnaniec, trzęsący jak z rękawa dziesiątkami tomów i garnący do kieszeni setka tysięcy franków? Jak wam podoba się księgarz podejmujący się rozprzedać z olbrzymim zarobkiem miljony egzemplarzy? Jak wam się podoba wreszcie naród, który tak i autora i wydawcę wzbogaca?... Nie mogąc mieć i nie mając pretensji do tak olbrzymich rzeczy, na jakie się tylko kraje wolne i szczęśliwe jak Francja zdobyć potrafią, mielibyśmy wszelako niejaką słuszność zapytując: dla czego i u nas coś podobnego, chociażby w mikroskopicznem zmniejszeniu, zdarzyć się nie może? dlaczego u nas i u nas jednych tylko, pióro chociażby najzdolniejszą ręką kierowane, często naraża, często gubi i zapędza nie na tak ładną i zieloną wyspę jak wyspa Guernsey, ale trochę dalej, w cokolwiek mniej powabne strony... dla czego pióro to nigdy już nie mówię wzbogaca, ale nawet i nie karmi? Stare to skargi powiecie, i myśl wcale nie nowa... To prawda, ale trudno się przed nią opędzić, gdy napatrzywszy się naszej nędzy, zwrócimy oczy na pomyślność i dostatek drugich. Dziesięć te tomów Wiktora Hugo zawierać mają: czterotomową powieść „Z rozkazu króla“ (*Par ordre du roi*) jednotomowy poemat „Zgon szatana“ (*La fin du satan*) i w jeden tom pozbierane utwory dramatyczne pod tytułem: „Teatr na swobodzie“ (*Théâtre en liberté*); dalej drugą serję „Legend wiekowych“ (*Légendes du siècles*), w dwóch tomach, i wreszcie olbrzymie epos „Bóg“ (*Dieu*) również na dwa tomy podzielony, a mający, że się tak wyrażę, uwieńczyć i ostatecznie rozwinąć wszystkie pomysły w poprzednich dydaktycznych utworach wieszcza zawarte. To niedość! płodna teka wygnańca zawierać ma jeszcze wiele innnych nie wykończonych rzeczy, między któremi ostra satyra obyczajów i niektórych wybitnych osobistości XIX. wieku pod tytułem: „Osioł“ (*l'Ân*) niepoślednie zajmie miejsce.

Człowiek zwykł sądzić drugich po sobie; z niecierpliwością więc i radością oczekując tych obiecanych przysmaków, i was sobie niecierpliwymi i radośnymi wyobrażam; za szlachetne bowiem i wzniosłe pomysły, za walkę w imieniu wszystkiego co cierpi i co pognębione, trudno nie wybaczyć autorowi „Nędzników“ jego grzeszków przeciwko formie, braku może, trzeźwości w słowach i obrazach, zbytniego miotania się i uganiania za brzmiącemi frazesami i za efektownością. „Natura ciągnie wilka do lasu“ Wiktor Hugo należy do narodu, który niewytrzymałby, ażeby do rzeczy najpoważniejszej nawet, do rzeczy najwięcej serjo, choć trochę blagi (*blague*), najwybitniejszej cechy swego charakteru, nie przymieszać.

Powieść szczególnie nęcić może ciekawość publiczności; ma to być, jak się zdaje, jakby dalszy ciąg idei wypowiedzianej w „*Notre Dame de Paris*“ „Nędznikach“ i „Robotnikach czy też Pracownikach morskich“. Człowiek walczący tam z religją, społeczeństwem i naturą, ma walczyć tu z samym sobą, z namiętnościami kipiącemi mu w łonie, z popędami ku złemu i t. d.

Coż wam dziś więcej o tej nowości powiedzieć mogę, jak tylko, że zobaczymy, zobaczymy i jeszcze raz zobaczymy.

Drugą nowinką literacką na dobie jest dramat pani George Sand, noszący tytuł „Cadio“ a przerobiony z romansu autorki w „*Revue de deux mondes*“ zamieszczonego. Pierwsze przedstawienie rzeczonego dramatu odbyło się uroczyście 5. bieżącego miesiąca w teatrze „*de la porte St. Martin*“. Nie śmiem młodej mej krytyki próbować na utworach takiego mistrza; boję się bym niewczesnym a zuchwałym zamachem od razu jej zębów nie połamał... wolę więc w streszczeniu powtórzyć to, co tutejsi koryfeusze literaccy o nowym tym zjawisku powiadają „Dramat pani Sand“ mówi jeden z nich Sarcy i z tym ja się pono najprędzej zgodzę, „grzeszy głównie tem, że jest nudnym, nudnym do niewytrzymania; to co zachwyca w powieści: prześliczne, mistrzowskiem piórem kreślone opisy, dźwięczne, poetyczne i w czytaniu wcale nie długie wynurzenia się i monologi bohatyrów i bohatyrek — na scenie lub zupełnie nikną, lub nie będąc dość ożywionemi przeciągają się zbytecznie. Działania mało, słów dużo, słuchacz zostaje zimnym, gubi się wśród tysiącznych niepotrzebnych detalów i drobnostek, i wysłuchawszy czterech długich aktów, wychodzi nie wynosząc nic, prócz ziewania“. Słowa te mniejwięcej do wszystkich dotychczas znanych dramatycznych utworów pani Sand z wyjątkiem może „*Marquis de Villemer*“ zastosować się dadzą. Brak jej zupełnie scenicznej s a t y r y. Scena — to życie; bohater na niej nie dużo mówić, a działać powinien; charakter jego nie z ciągłych spowiadań się przed widzem, nie z długich monologów, a z samej że akcji, ze ścierania się z drugiemi osobistościami sztuki wynikać musi; inaczej słuchacz go nie zrozumie, inaczej się nim zainteresować, uwierzyć weń nie zdoła; inaczej bohater ten będzie dlań tylko powtarzającym swą rolę aktorem, a nie w rzeczy samej czującą i myślącą tak istotą. Tym to koniecznym zda mi się warunkom, wzniosły skądinąd talent pani Sand, dogodzić nie umie; autor tylu prześlicznych kartek, perłami, że się tak wyrażę, zapisanych, autor świeżo się teraz w *Revue de deux mondes*, drukujących „Listów Podróżnego“, w których barwistym językiem i jeśli nie z głęboką znajomością rzeczy, to z dziwnym jej przeczuciem, opisuje florę Francji — potknąć się musi zawsze, ilekroć razy tylko chętka go zbierze drapania się na ślizkie i chwiejące się deski teatralne. To go jednak nie zraża, jak widzimy; wnioskować ztąd należy, że i największe talenta ulegają zwykłym ludzkim słabostkom, i że autor „*Cadio*“ chętniej nakłania ucha krytykom tak łaskawym, jak Jules Janin, który absolutnie twierdzi, „że każdy utwor George Sand jest arcydziełem i krytyce nie podlega“, aniżeli innym mniej stronnym i mniej niewolniczo uległym spostrzeżeniom i uwagom.

Nie wiem czy was treść dramatu zająć potrafi; tak się jednak szeroko o nim rozpisałem, że pominąć jej zupełnem milczeniem nie mogę. Oto więc ją macie. Saint Sildas dowódzca legitymistycznego powstania w Vandei, trochę awanturnik, trochę Don Juan, bożyszcze i pieścidełko płci pięknej Vendeeńskiej zaręczonym jest z panną de Sansiéres, córką jednego z tamecznych magnatów, a która mimowolnie i bezwiednie obudziła gwałtowną namiętność w sercu jednego z licznych swych poddanych, w sercu biednego lirnika wioskowego „*Cadio*“. Cadio to postać sentymentalna, nie raz już w poprzednich utworach pani Sand odwzorowana; typ jak widać przez nią ulubiony; prostaczka urodzeniem i stanowiskiem, a duszą wznoszącego się nad poziom otaczający, przyrodniego brata Ruy-Blasa Hugonowego i t. d. Otoż wojska Rzeczypospolitej zwyciężają, popłoch w obozie powstańców, panna de Sansiéres uciekając przebrana za wieśniaczkę, w towarzystwie Cadio, wpada w ręce wrogów. Stawiona przed sąd, zagrożona śmiercią trwa w swojej roli, ciągle mieni się być wieśniaczką i narzeczoną Cadio. Prezes trybunału, jeden z owych straszliwych delegowanych komitetu zbawienia publicznego, podejrzywając kłamstwo i pragnąc domacać się prawdy, roskazuje mniemanym narzeczonym brać ślub natychmiast w jego obecności. Nie mając do wyboru jak tylko śmierć lub to małżeństwo, panna de Sansiéres naturalnie wybiera ostatnie. Radość Cadio podniesionego do szczytu najśmielszych swych marzeń, posiadaniem tej, którą nad życie kochał, upada wkrótce, bo panna de Sansiéres, raz uwolniona, a wierna patrycjuszowskim swym zasadom, za usługę rzuca poddanemu kiesę złota, a sama wraca do prawdziwego swego według niej małżonka, pana Saint-Gildas. Podeptane uczucie chłopa w wściekłe pragnienie zemsty i odwetu się przeradza; on chce być równym swemu rywalowi! wstępuje więc w szeregi wojsk Rzeczypospolitej, by tam na polu bitew, równość tę wywalczyć. Rok upływa; powstanie w Wandei trwa ciągle, ale brak mu już żywiołów, więc słabnie... Cadio wraca z za Renu, wraca kapitanem; szuka rywala swego, by w bój z nim wstąpić, w bój krwawy, śmiertelny; znajduje go wreszcie, ale w rozpaczliwem położeniu, otoczonego wojskami nieprzyjaznemi bez nadziei ucieczki i ratunku.

Widok pognębionego wroga, widok łzami zalanej dumnej swej ubóstwionej, w szlachetnem sercu Cadio wszelkie pragnienie zemsty tępi; on dziś zbawić pragnie tego, którego śmierci przed chwilą tak usilnie pożądał. Tu natężona sytuacja rwie się i słabnie. Wzniosły zamiar Cadio nie udaje się: Saint Gildas ginie; ale wdowa po nim w nadgrodę za poświęcenie rzuca bohaterskiemu Cadio słodkie słowo „do widzenia“, które dlań cały raj obietnic w sobie zawiera. Jeśli dodacie do tego epizod oderwany i wcale niepotrzebny: miłości Koxiganny wieśniaczki Bretońskiej dla Saint-Gildasa i postać kapitana Alaim, wuja panny de Sansiéres, szlachcica postępowego a proroka zgody wśród zamieszek wojny domowej — to i mieć będziecie całą kanwę dramatu, kanwę dość bogatą, na której jednak wiele a wiele niepotrzebnych rzeczy nahaftowano. Na zakończenie dodam, że rolę Saint-Gildasa odegrała osobistość po części wam znajoma, bo Roger, były pierwszy tenor opery tutejszej, a

który niedawniej jak tej wiosny, na scenie niemieckiej we Lwowie (als Gastrolle) występował.

O czem wam więcej mówić będę? Mówiłbym o pogrzebie hr. Walewskiego, o ciężkich westchnieniach niewinnej Izabelli w zamku praszczura swego Henryka IV. w Pau wydawanych; ale się boję, by tak jedno jak drugie w dziedziny polityki mię nie zaniosło, których się to dziedzin tykać ani chcę, ani myślę.

Wolę więc powiedzieć wam słów parę o metamorfozie owej sławnej „Latarni" Rochefortowskiej na nową broszurkę pod tytułem „*Le diable á quatre*", w której prócz wzmiankowanego Henryka Rochefort jeszcze Vilmessant redaktor dziennika „Figaro" i dwóch innych pismaków współudział wezmą; wolę wspomnieć o trelach jakie pani już, a nie pana Adelina Patti (margrabina de Caux) w operze włoskiej wywodzi. Sławna ta śpiewaczka, zanim scenę tutejszą na zawsze już opuści, by się poświęcić słodyczom rodzinnego pożycia, przebiedz ma z kolei wszystkie perły swego repertuaru: Lucję, Rigoletto, Cyrulika, Lunatyczkę i t. d. w czem jej znany tenor Fraschini dopomaga; wolę napomknąć o świeżej próbce poznajomienia Francji z ciemnym dla niej zawsze słowiańskim wschodem Europy, która to próbka „Poezje ludowe serbskie" w tłumaczeniu pana M. A. d' Aaril, z drukarni polskiej przy ulicy Tournon w Paryżu, niedawno na świat wybiegła; wolę wreszcie na zakończenie, na wety, rozradować serca lwowian obietnicą nowej komedji ulubionego ich autora pana Sardou, którą to komedję, pod tytułem „Dewotki" teatr odeoński w Paryżu wkrótce po raz pierwszy przedstawić zamyśla. Jeśli „Familja Benoitonów," jeśli „Nasi poczciwi wieśniacy" sztuki więcej miejscowe francuzkie, znalazły we Lwowie dość podchlebne przyjęcie, — to tem ci większe powodzenie wróżyć można tej, co jak „Dewotki" wyśmiewa chorobę i u nas dość liczne pożerającą ofiary. Daj jej więc Boże rychłe prawo obywatelstwa na scenie Skarbkowskiej dla pożytku i zabawy licznie zgromadzonych słuchaczy. Tem życzeniem zakończę pierwszy mój, jakem to z góry zapowiedział, nieśmiały krok na kronikarskiej drodze. Do widzenia. *J. C.*

BIBLIOGRAFJA POLSKA

podawana przez księgarnię Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie.

Chevalier, Michał. Wpływ swobód ekonomicznych na postęp społeczeństwa. Z francuzkiego przełożył S. Czarnowski. 8wo (15 str.). Warszawa 1868 . — zł. 54 ct.

Froebl, Fr. Sztuka wychowawczego badania dzieci. Część I. Malarstwo. Warszawa 1868 . . . 1 „ 8 „

Gobulicki, W. Kolorowe obrazki, kilka powiastek i szkiców. 16ka (28 str.). Warszawa 1868 . . — „ 20 „

Klaudius Tillier. Żywot publicysty. Rzecz wzięta z czasopisma niemieckiego. 16ka (34 str.). Lwów 1868 . — „ 20 „

Klin. Szkice. III. Kuzynka, sylwetka z galerji pospolitych ludzi. IV. Kartki nie-Kraszewskiego z podróży nie-Stern'a wycieczka pierwsza. 16ka(28 str.). Warszawa 1868 . . . . . — „ 33 „

Kraszewski, I. J. Kamienica w długim rynku. Powieść. 8wo (292 str.). Warszawa 1868 . . . 1 „ 62 „

Lubowski, E. Zgubiony pierścionek. Powiastka. 16ka (35 str.). Warszawa 1868 . . . . . — „ 20 „

Łabęcki, H. Słownik górniczy polsko-rosyjsko-francuzko-niemiecki i rosyjsko-polski (z dodatkiem wyrazów odnoszących się do mineralogji, geologji, chemji, oraz ważniejszych rzemiosł kruszcowych, tudzież glosarz średniowiecznej łaciny górniczej w Polsce. (Wydanie pośmiertne). 8wo (338, 83 i 36 str.). Warszawa 1888 . . . . 3 zł. 49 ct.

Mikorski, Feliks. Bajki Część I. 8wo (54 str). Warszawa 1868 — „ 20 „

Poczciwość i praca czyli historja biednej sieroty. Przez autora „Pogadanki niedzielne." 8wo (75 str.). Warszawa 1868 . . . . . — „ 33 „

Pruszakowa, Seweryna. Nowe powieści dla dojrzałej młodzieży, ozdobione drzeworytami. 8wo (240 str.). Warszawa 1868 . . . . . 1 „ 82 „

Przewodnik zabaw. Opis 70 gier towarzyskich, bieganych, siedzących, ustnych i pisanych dla młodzieży i dorosłych, wraz z spisem 28 kar odbywanych za fanty. 16ka (172 str.). Warszawa 1868 . — „ 74 „

Powiastki wesołe dla dzieci A. S. oryginalnie po polsku napisane z 6ma rycinami kolorowanemi. Wydanie trzecie. 16ka (190 str.). Warszawa 1868 . 1 „ 82 „

Powieści żółte czyli książka dla małych dzieci. (Les contes jaunes ou le livre de l'enfance). Książeczka w języku francuzkim i polskim. 16ka (187 str.) Warszawa 1868 . . . . . 2 „ 16 „

Przepisów 333 smacznych potraw, ciast, konfitur i marynat. Przez znaną gospodynię Teofilę* 8wo (174 str.). Poznań 1868 . . . . . — „ 90 „

Sonety nadgoplańskie, napisał J. B. S. 8wo (178 str.). Poznań 1868 . . . . . — „ 45 „

Szczorbowicz-Wieczór, Ludwik. Parmenides filozof z Elei, jego nauka i jej znaczenie z poglądem na rozwój filozofji i prawdziwe znaczenie tej nauki. 8wo (47 str.). Warszawa 1868 . . . . — „ 79 „

Verba veritatis czyli słowo Podolanina do moich współbraci Polaków zamieszkujących w zachodnich guberniach E. R. 8wo (176 str.). Kijów 1868 . 2 „ 36 „

Zbrożek, Piotr. Krakus i Wanda (z ryciną Krakusa). 8wo (30 str.). Lwów 1868 . . . . — „ 5 „

Rozmaitości.

* Wyszedł pierwszy numer pisma p. t. „Iris," poświęconego ogrodnictwu, sadownictwu, pszczelnictwu, sztukom pięknym (?!) i t. d.

Nie znając się na sadzeniu drzew, pędzeniu hjacyntów i t. p., nie wydajemy sądu o „Iris" jako piśmie specjalnem; co do części jednak, mającą zapewne być odniesioną do działu s z t u k p i ę k n y c h, nasuwa się nam mimowoli łacińskie: *Ne sutor ultra crepidam...* tyle tam p i ę k n y c h powiedziano rzeczy!...

* Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta opuściła prasę powieść Bolesławity p. t. „Hybrydy." (Była drukowaną w „Przeglądzie Polskim.") Rozbiór jej podamy w jednym z najbliższych numerów „Nowin."

* Nakładem W. Jaworskiego w Krakowie wyszły następujące książki: „Wieczory pod Lipą" czyli „Historja narodu Polskiego" opowiadana przez Grzegorza z pod Racławic. Wydanie powiększone i 45 rycinami ozdobione. „Medycyna wiejska," obrazek z obyczajów ludu wiejskiego przez W. Waligórskiego.

* Fr. Palacki, czeski uczony, wydaje nowe swe dzieło p. t. „Documenta Magistri Joannis Hus, vitam, doctrinam" i t. d. zawierające biografię reformatora, jego życie, czynności i t. d.

* Czeska „Matica ludu" książki swe odbija w 16.000 eksemplarzy; a spotrzebowanie jest tak wielkie, że niektóre książki miały już po kilka wydań.

* B r o n i s ł a w T r e n t o w s k i, wykładający filozofię na uniwersytecie w Fryburgu w Brysgowji, występuje po dziesięcioletniem milczeniu z wielkiem dziełem, któremu dał tytuł: „Panteon wiedzy ludzkiej." Dzieło wyjdzie w trzech tomach po 40 arkuszy druku, nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu. Jest to — mówi Libelt — encyklopedja wszystkich nauk, w jeden nadobny i przejrzysty całokształt ujęty. Nie posiada nic podobnego, nie tylko literatura polska, ale żadne inne piśmiennictwo. Jestto najpóźniejsza, ale zato najlepsza praca Trentowskiego.

* Scena krakowska pozyskała pp. Nowakowskich, którzy się tam zaangażowali. Pani Aszpergerowa również występuje na tej scenie. Szczęśliwy Kraków! Lecz co my poczniemy, oddani na łaskę gry pp. Miłaszewskiej, Góreckiej i J. Popielównej.

* Pani Chłapowska (Modrzejewska) prawdopodobnie zostanie w Warszawie, gdzie artystkę tę przyjęto z wyszczególnieniem.

* Kompetentni krytycy warszawscy radzą pani Modrzejewskiej, by stanowczo zaniechała występów w dramatach, poświęciwszy się wyłącznie rolom w wyższych komedjach. Podzielamy to zdanie w zupełności.

* Pani Bakałowiczowa, artystka z Warszawy rozpoczęła na naszej scenie szereg gościnnych występów. Występowała w *Montejoy* i *Ślubach panieńskich* — dobrze przyjmowana przez publiczność.

* Redakcję „Dziennika Lwowskiego" objął p. Tadeusz Romanowicz.

* Bolesławita nadesłał nową powieść do jednego z pism lwowskich.

* Nakładem K. Pillera wyszły dwie pieśni z towarzyszeniem fortepianu, zdolnego kompozytora, p. W. Czerwińskiego p. t. „Odkąd patrzę w oczy twe" i „Spojrzy księżyc w okno me."

* Tragedja „Rejtan" Br. Komorowskiego, której druk w Nowinach kończymy, będzie przedstawioną jeszcze w bieżącym miesiącu na scenie lwowskiej, a podobno i krakowskiej.

* Towarzystwo naukowo-literackie we Lwowie, jeśli nie umarło, tedy zasnęło — bo żadnego znaku życia nie daje.

* Henryk Schmitt rozpoczął w sali ratuszowej szereg wykładów z historji polskiej.

* Za przykładem Zakładu panny H. Pożakowskiej i inne zakłady wychowawcze żeńskie ogłaszają wykłady publiczne dla kobiet.

Cieszymy się z tego postępu; a wdzięczność należy się p. P., która pierwsza myśl tę wprowadziła w życie.

* Ilość gwiazd. Patrząc na niebo zasiane gwiazdami, nie przypuszcza nikt pewno, by niezliczona mnogość tych światełek niebieskich dała się objąć jakąkolwiek cyfrą. A przecież kusił się o to niejeden znakomity astronom. Bode, pierwszorzędny badacz świata nadpowietrznego, przekazał nam w swojej uranometrji katalog obejmujący 17.000 gwiazd; Laland naliczył ich 47.000; Bessel 30.000 a Harding spisał na 27 kartach 120.000 gwiazd. Tę cyfrę jednak przewyższają o wiele obliczenia sławnego Argelandera, dyrektora wieży astronomicznej w Bonn, który — chociaż starzec już wiekowy — z odwagą i wytrwałością prawdziwie młodzieńczą zajmuje się ciągle jeszcze obliczaniem i oznaczaniem miejsc gwiazd nieruchomych. Ze wszystkich badań pokazuje się, że liczba gwiazd pierwszego rzędu wynosi 20, drugiego 65, trzeciego 190, czwartego 425, piątego 1100, szóstego 3200, siódmego 13.000, ósmego 40.000, dziewiątego 142.000, a każdego następującego rzędu prawie trzy razy więcej, niż poprzedniego. Dalej zaś ustaje już liczenie, a miejsce jego zajmuje szacowanie. Podług tego okazuje 20stopniowy teleskop, powiększający 180 razy, jakim był teleskop Herschla, na całem niebie 20,000.000 gwiazd, zaś 40stopniowy teleskop tego samego astronoma pokazywał w samej tylko drodze mlecznej 18,000.000 gwiazd.

* Powódź w Szwajcarji. Z trzech potopów, których Szwajcarja doznała w bieżącem stuleciu, 1817, 1834 i 1868, ostatni był najstraszniejszy. Szkody zrządzone wylewami w 1834 roku obliczono na 10 milionów franków; tegoroczne są o wiele znaczniejsze. Oto krótkie wyszczególnienie, mogące obchodzić tych z naszych czytelników, którzy Szwajcarją zwiedzali. W kantonie Uri jezioro zwane „Czterech kantonów" podniosło swe wody o półtorej stopy; most na rzecze Reuss i tama blisko Amstag zostały zerwane, wszystkie roboty przybrzeżne zniszczone. Rzeka Tessin, w kantonie tegoż nazwiska, zalała swą dolinę na całą jej szerokość, o 10 mil za Locarno. Jezioro Wielkie (Lago maggiore) podniosło się na 7 stóp; w Locarno woda doszła do pierwszego piętra domów. Mieszkania dolne są teraz po opadnięciu wody pełne mułu i błota. Most na Tessinie pod Stalvedro, wyniesiony nad poziom wody stóp 20, został zniesiony; na drogę nawaliło się mnóstwo kamieni, a niektóre są wysokie na 10 stóp. Most „delle Fontenelle", zbudowany z kamienia i wyniesiony na 40 stóp nad wodę, zniknął; jeden tylko filar pozostał przy brzegu. W bliskości Palmengo utworzył się wśród wsi pagórek z kamieni na 500 stóp szeroki; wieś zupełnie zniszczona. Przy Faido, Chioggiogna, Crovareggio. Livorgno, Chironico, trzy mosty zwalone zostały; drogi całkiem zrujnowane, domy pełne wody, pola zasypane. W Giernico cztery domy się zwaliły, 14 do pierwszego piętra zrujnowanych, 25 obór powódź porwała; w Badio ludzi zginęło 17. W dolinie Blegno woda zerwała mosty w Alivone, Aquila, Aquarasso, Malvaglia; wiele domów i jeden kościół zwaliły się; tu i owdzie nie został kamień na kamieniu. Ludzi w tej stronie 28. zginęło. W kantonie Gryzońskim wieś Vals znikła wraz z kościołem; droga nad Renem na 1500 metrów długości zepsuta. Wzdłuż całego Renu to samo zniszczenie; mosty zerwane, pola zniszczone, bydło porwane. Ludność obozuje na wzgórzach bez odzienia i pożywienia. W Walijskiem rzeka Visp trzy razy wylewała i zniszczyła kraj na 20 kilometrów długości. Grobla ani jedna się nie oparła. Blisko Marigny oberwała się skała i zasypała rumowiskiem drogę na 200 metrów długą i zmiotła las.

* Pantalony Faraona. P. Collard w Paryżu sprzedaje różne starożytności: włos z brody Cyda, guzik od surduta Napoleona I., chustkę Robbespierra itp. co kto zechce. Anglicy są głównymi jego odbiorcami. Niedawno kupił jakiś gentleman od p. Collarda pantalony Faraona za 24 ft. 6 szyl., — a miały być odświętne, jak świadczy dokument hieroglificzny, którym p. C. prawdziwość poświadczał. Uradowany Anglik pokazał nabytek jakiemuś uczonemu niemieckiemu, który na złość i przekór francuzkiemu starożytnikowi wykrył, że w tkaninie owych pantalonów były nici bawełniane, których za Faraona nie znano, oraz, że barwa nadana była przez Indigo, co także jest nowszym produktem. Anglik poszedł do sądu, który rozstrzygnął na niekorzyść p. Collarda, a śledztwo wykryło, że pantalony pochodzą z czasów francuzkiej wyprawy Bonapartego do Egiptu. Pan C. musiał wrócić pieniądze.

* Sen prefekta. „Figaro" opowiada następującą anegdotę: Pewien minister odbywał przed niedawnym czasem podróż inspekcyjną po prowincji. Nic nie ma w tem złego, i jeżeli o tem mówimy, dzieje się to tylko z tej przyczyny, ponieważ się to rzadko wydarza. Minister kazał sobie towarzyszyć w departemencie X. prefektowi, którego nieco ostro traktował. Wieczorem obiadowano w gmachu prefektury a po obiedzie pito likier i kawę w salonie. Prefekt, uczyniwszy zadość temu ostatniemu obowiązkowi pana domu, usiadł w fotelu, nie mówił już ani słowa i zdawało się, iż zasnął głęboko. Podczas tego był minister jako wdzięczny gość dla bardzo pięknej i bardzo łagodnej żony prefekta nadzwyczaj uprzejmym i czułym... Opodal tego obrazu wyprzątał służący likier, licząc na zatrudnienie pani prefektowej i sen prefekta. Wychylił już był dwa kieliszki chartreuse, i w chwili kiedy minister najczulszym się okazywał, podniósł ramię, ażeby trzeci kielich ponieść do ust. Nagle zbudził się prefekt z mniemanego snu i wrzasnął w bardzo złym humorze: „Błaźnie, czy sądzisz, że ja śpię dla wszystkich?"

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.